BIULETYN STOWARZYSZENIA

WSPÓLNOTA POLSKA

ISSN 1429-8457

5/2001 (104)

Szkoła Polska w Paryżu
Polonia w Bułgarii
Biblioteka Polska w Paryżu na dwa głosy
Szkolnictwo polskie na Litwie
Festyny polonijne w Niemczech

VI Międzynarodowe Sympozjum Biografistyki Polonijnej

Mons (SHAPE) - Bruksela 28-30 września 2001

Temat: Polacy i osoby polskiego pochodzenia w siłach zbrojnych i policji państw obcych. Historia i współczesność.

Organizatorzy i sponsorzy:

Zakład Biografistyki Polonijnej w Maisons-Alfort (Francja)
Konsulat Generalny RP w Brukseli
Polskie Narodowe Przedstawicielstwo Wojskowe przy Naczelnym Dowództwie Połączonych Sił Zbrojnych w Europie
Akademia Świętokrzyska im. J. Kochanowskiego w Kielcach

Współorganizatorzy i sponsorzy:

Ambasada RP (Attaché Wojskowi) w Brukseli
Ministerstwo Obrony Narodowej RP
Ministerstwo Edukacji Narodowej RP
Polskie Przedstawicielstwo Wojskowe przy Komitecie Wojskowym NATO w Brukseli
Polonia Aid Foundation Trust w Londynie
Świętokrzyska Agencja Rozwoju Regionu S. A. w Kielcach
Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" w Warszawie
Stowarzyszenie Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie (APAJTE) z siedzibą w Paryżu

Komitet Honorowy Sympozjum

Marian Bączkowski - Szef Narodowego Centrum Ruchu Drogowego Żandarmerii Francuskiej
Mirosław Mossakowski - Prezes Polskiej Akademii Nauk
Jan Michna - Komendant Główny Policji
Andrzej Towpik - Ambasador RP przy Kwaterze Głównej NATO
Kazimierz Ujazdowski - Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP
Andrzej Wiszniewski - Minister Nauki RP, Przewodniczący Komitetu Badań Naukowych

Patronat Medialny

Polskie Radio S.A.
Telewizja Polska S.A.

Uczestnicy Sympozjum:

m.in.: dowódcy poszczególnych przedstawicielstw wojskowych w NATO; przedstawiciele polskiego korpusu dyplomatycznego z Belgii, Francji, Wielkiej Brytanii; naukowcy z ośrodków akademickich w Austrii, Belgii, Danii, Francji, Gruzji, Kolumbii, Meksyku, Niemczech, Norwegii, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech oraz z Polski (Białystok, Bydgoszcz, Częstochowa, Gdańsk, Gorzów Wlkp, Katowice, Kielce, Kraków, Lublin, Łódź, Olsztyn, Poznań, Rzeszów, Szczytno, Warszawa, Zielona Góra); oficerowie polskiej Policji; oficerowie Wojska Polskiego; polskiego pochodzenia oficerowie armii, policji i żandarmerii amerykańskiej, brytyjskiej, belgijskiej, francuskiej, kanadyjskiej, litewskiej i norweskiej; dziennikarze prasy, radia i telewizji z Belgii, Francji, Polski, USA i Wielkiej Brytanii.

Miejsce Sympozjum:

Kwatera Naczelnego Dowództwa
Połączonych Sił Zbrojnych w Europie
Supreme Headquarters Allied Powers Europe
B–7010 Mons, SHAPE
Belgia
(sala kina)

Program

28 września

9.00-10.00 - otwarcie Sympozjum
10.00-16.45 - wygłoszenie referatów (z przerwami: 12.00-14.00 i 15.15-15.30)
16.45-17.15 - dyskusja

29 września

10.15-13.30 - wygłoszenie referatów (z przerwą 11.45-12.00)
13.30-13.45 - dyskusja
13.45-14.00 - podsumowanie Sympozjum
19.00-22.00 - spotkanie uczestników Sympozjum w Konsulacie Generalnym RP w Brukseli

30 września

11.00-17.00 II Salon Książki Polonijnej

Szczegółowy program na stronie internetowej: http://www.wspolnota-polska.org.pl

Referaty, które nie zostaną wygłoszone w trakcie Sympozjum dostępne będą w wydrukowanym na tę okazję specjalnym tomie z materiałami.

Osoby zainteresowane uczestniczeniem w sympozjum proszone są o kontakt pod adresem:

IRB-15, rue des Champs Corbilly
94700 Maisons-Alfort
France
tel. 00 33 1 43 96 15 38
fax 00 33 1 45 18 01 71
e-mail: irb.judycki@libertysurf.fr

W numerze:

Ze świata

BUŁGARIA

Konkurs w Szkole Polskiej w Sofii 2
Urszula Milczewska

Pierwsza polonijna pielgrzymka do Sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej w Bułgarii 2
Urszula Milczewska

Historia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w Małko Tyrnowo 3
Roman Kotewicz, Lucjan Bartkowiak

FRANCJA

O Bibliotece Polskiej z dwóch punktów widzenia 4

Zachować Bibliotekę nad Sekwaną
- rozmowa z p. Kazimierzem Piotrem Lubicz Zaleskim dyrektorem Biblioteki Polskiej w Paryżu 4
Agnieszka Panecka

Chętnie bym pomógł
- rozmowa z ks. prałatem Stanisławem Jeżem rektorem Polskiej Misji Katolickiej we Francji 10
Agnieszka Panecka

Znajdują tu swoją Polskę
- rozmowa z Iwoną H. Pugacewicz dyrektorem Szkoły Polskiej w Paryżu 15
Agnieszka Panecka

KAZACHSTAN

Święto kultury polskiej w Kazachstanie 20

LITWA

Szkolnictwo polskie na Litwie
- stan posiadania, problemy, perspektywy 20
Józef Kwiatkowski

Prezydent RP o stosunkach polsko-litewskich 25

45 lat obecności Polaków na Litwie 26

Rusza "Program Rozwoju Regionu Wileńskiego" 27

NIEMCY

Festyn polonijny w Hamburgu 28
Waldemar Maszewski

Karnawał Kultur 29
Dorota Hoffmann

UKRAINA

Towarzystwo Kultury Polskiej w Samborze 30
Marian Wawrzyszyn

W Kosowie u Pani Zofii 31
Joanna Dudek

Polscy rolnicy na Ukrainie 33
Krzysztof Czarnocki

@@@

Konkurs w Szkole Polskiej w Sofii

Z inicjatywy dyrektora Zespołu Szkół przy Ambasadzie RP w Sofii 16 czerwca br. odbył się finał konkursu pt.: „Czy znasz kraj swoich przodków?". Konkurs został ogłoszony w październiku 2000 roku. Zespół w składzie: dyrektor Szkoły Polskiej w Sofii Mieczysław Bielski, nauczycielka języka polskiego Małgorzata Rusew i bibliotekarka Jadwiga Bielska opracował bibliografię i przygotował bank, składający się z 85 pytań konkursowych. W eliminacjach wzięło udział 62 uczniów ze wszystkich klas – od IV klasy Szkoły Podstawowej do IV klasy Liceum Ogólnokształcącego. Po przeprowadzonych w lutym br. eliminacjach do ćwierćfinału zakwalifikowało się 21 uczniów, a po rozgrywkach półfinałowych w maju br. do finału dotarło 8 uczniów.

Finał konkursu składał się z pięciu dyscyplin: znane przysłowia polskie, obyczaje, postacie literackie, przewodnik po słynnych zabytkowych obiektach w Polsce, postacie historyczne. Wyniki konkursu rozstrzygnęła komisja sędziowska w składzie: przewodniczący – konsul RP w Sofii Henryk Tkacz, członkowie: Mieczysław Bielski, Małgorzata Rusew i Urszula Milczewska, prezes PSKO.

W pierwszej dyscyplinie prowadząca konkurs czytała część znanego przysłowia polskiego, a zadaniem uczestnika było właściwe dopełnienie pozostałej części. Przysłowia wybrała Małgorzata Rusew, która prowadziła tę część konkursu.

Następna dyscyplina polegała na udzieleniu prawidłowej odpowiedzi na pytania związane z polskimi obyczajami, np.„Co to jest święconka?",„Co to jest śmigus-dyngus?",„Jaki zwyczaj kultywuje się w niedzielę poprzedzającą Wielkanoc?" i in. Zestaw pytań konkursowych opracowała Jadwiga Bielska.

Kolejna, znacznie trudniejsza od poprzednich dyscyplina, obejmowała pytania dotyczące postaci literackich. Zestaw pytań, opracowany przez Małgorzatę Rusew, wymagał starannego przygotowania ze strony uczestników w konkursie. Nawet „oczytana" dorosła osoba z trudem mogłaby sobie poradzić z odpowiedzią na pytania w rodzaju: „Wymień najważniejsze tomy poetyckie Zbigniewa Herberta" lub „Który z pisarzy polskich przebywał w łagrze sowieckim i spisał później swe doświadczenia. Podaj tytuł utworu."

Po krótkim odpoczynku po tym trudnym etapie, zawodnicy przystąpili do następnej dyscypliny. W tej rozgrywce zadanie uczestnika polegało na wcieleniu się w rolę przewodnika po znanych zabytkach historycznych w Polsce. Poprzez losowanie zawodnicy wybierali obiekt, po którym mieli „oprowadzać wycieczkę", podając „turystom" związane z nim fakty historyczne. Zestaw pytań do wyboru, opracowany przez M. Bielskiego, obejmował następujące tematy: Biskupin, Częstochowa, Gniezno – katedra, Kraków – kościół Mariacki, Wawel, kościół Paulinów na Skałce, Warszawa – Zamek Królewski, Łazienki. W tej dyscyplinie zawodnicy otrzymywali od komisji sędziowskiej po trzy oceny: za część merytoryczną, za prezentację i za język polski.

W wesołych nastrojach po „wycieczce", zawodnicy przystąpili do ostatniej dyscypliny konkursu, polegającej na odpowiedzi na pytania dotyczące polskich postaci historycznych. I tym razem autor zestawu pytań, dyrektor szkoły Mieczysław Bielski, postarał się, by zbytnio nie ułatwiać zadania swoim wychowankom.

Jako zwycięzcę w konkursie komisja sędziowska wyłoniła uczennicę kl. VI Szkoły Podstawowej – Monikę Simow. Jej staranne przygotowanie do konkursu i młodziutki wiek zaskoczyły wszystkich obecnych. Drugie miejsce zdobył uczeń kl. III LO – Grzegorz Bogdanow, z różnicą zaledwie pół punktu. Na trzecim miejscu znalazła się uczennica I kl. LO – Katarzyna Dimitrowa.

Oprócz nagród za zdobyte miejsca, wszystkim uczestnikom w konkursie zostały przyznane nagrody pocieszenia. Nagrody dla zawodników ufundowali: Ambasador RP w Sofii, Wydział Konsularny, Szkoła Polska i Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe. Nagrody zostały wręczone na uroczystym zakończeniu roku szkolnego.

Imprezą towarzyszącą konkursowi było rozstrzygnięcie konkursu plastycznego, który obejmował prace uczniów od klasy zerowej do III klasy Szkoły Podstawowej włącznie. Za piękny sarkofag Królowej Jadwigi na Wawelu, wykonany z plasteliny, pierwszą nagrodę otrzymała Hanna Kacarow z I kl. Szkoły Podstawowej, a za akwarelę Zamku Królewskiego w Warszawie drugą nagrodę zdobyła Wiktoria Nikołowa z klasy zerowej.

Urszula Milczewska

Pierwsza polonijna pielgrzymka do Sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej w Bułgarii

Miasteczko Małko Tyrnowo, położone w górach Sakar w południowo-wschodniej Bułgarii i oddalone zaledwie kilkanaście kilometrów od granicy z Turcją, w dniach 9 i 10 czerwca 2001 r. w szczególny sposób stało się bliskie Polonii Bułgarskiej. To właśnie w tym uroczym zakątku Bułgarii miała miejsce polonijna pielgrzymka, pierwsza w historii Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego im. Władysława Warneńczyka w Bułgarii.

W połowie 1999 r., a więc prawie dwa lata temu, do zarządu PSKO dotarła informacja o istnieniu w Małko Tyrnowo Misji Zmartwychwstańców i znajdującym się tam obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej. Od tego czasu pomysł zorganizowania polonijnej pielgrzymki do Małko Tyrnowo i wspólnej modlitwy przed obliczem Madonny zajmował stałe miejsce w rocznych planach stowarzyszenia. Wszyscy byli przekonani, że katolicka pielgrzymka w kraju, w którym tradycyjną religią jest prawosławie, pozostawi trwały ślad w sercach Polaków zamieszkałych w Bułgarii i zbliży ich jeszcze bardziej. W chwili, kiedy już zupełnie nie było nadziei, że kiedykolwiek uda się zrealizować ten plan, zupełnie nieoczekiwanie ojcowie z Małko Tyrnowo wystąpili do Stowarzyszenia z oficjalnym zaproszeniem do współudziału w organizacji pielgrzymki i z konkretnym planem działania. Licząc na to, że tym razem, przy takim wsparciu moralnym, uda się pokonać wszystkie trudności, zarząd podjął tę karkołomną decyzję. I oto, wspólnym wysiłkiem i dzięki wyjątkowej przychylności Senatu RP i Ambasady RP w Sofii, pierwsza polonijna pielgrzym-

ka stała się faktem. Wzięli w niej udział przedstawiciele Polonii z ośmiu miast. Gośćmi honorowymi byli: konsul RP w Bułgarii, p. Henryk Tkacz i konsul generalny RP w Warnie, p. Krzysztof Krajewski.

Ojcowie misjonarze: ks. Roman Kotewicz, ks. Lucjan Bartkowiak i ks. Jacek Wójcik przygotowali wspaniały program, który pozwolił wszystkim pielgrzymom przeżyć chwile, o których pamięta się przez całe życie. Wielkim wydarzeniem była obecność nuncjusza papieskiego w Bułgarii, księdza arcybiskupa Antonio Mennini, który odprawił Mszę św. i pobłogosławił pielgrzymów. Wszyscy uczestnicy pielgrzymki podpisali się pod telegramem do Ojca św., a w specjalnie założonej księdze pamiątkowej został dokonany wpis, że jest to pierwsza polonijna pielgrzymka w 140-letniej historii Misji Zmartwychwstańców w Bułgarii.

Urszula Milczewska

Historia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w Małko Tyrnowo

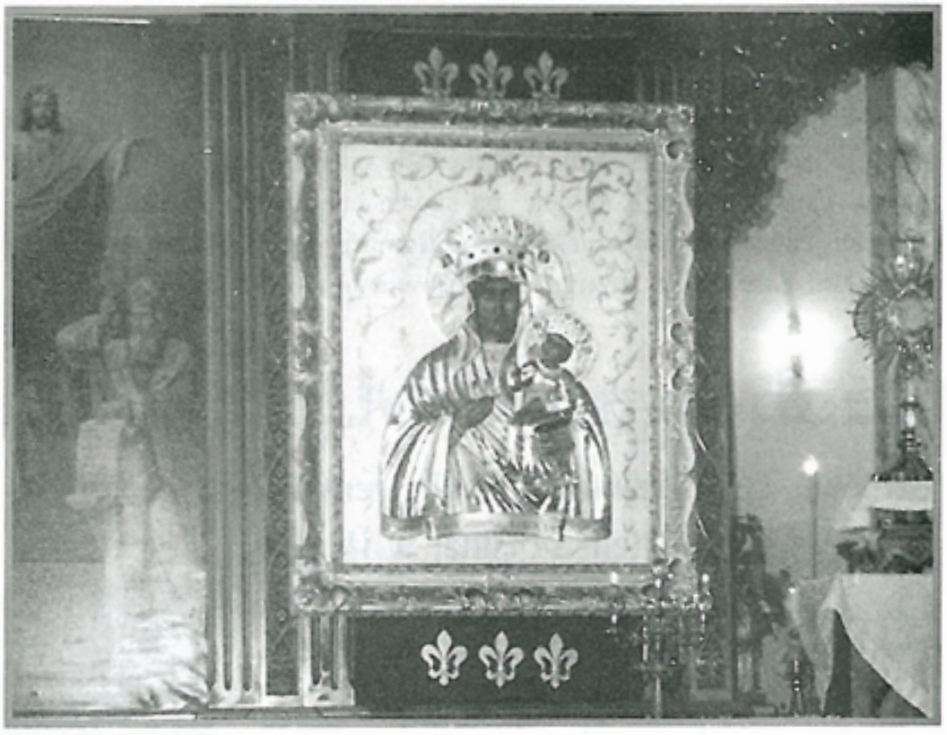

Historia tego obrazu dość ściśle złączona jest z dziejami Misji Zmartwychwstańców w Bułgarii.

Sama Misja powstała jesienią 1863 roku, kiedy to dwaj pierwsi Zmartwychwstańcy: ks. Karol Kaczanowski i brat Marcin Janus przybyli do Adrianopola (dziś Odrin). Na miejscu bardzo szybko i z powodzeniem rozwinęli działalność dydaktyczno-wychowawczą wśród dzieci i młodzieży, przede wszystkim pochodzenia bułgarskiego. Zakładali gimnazja i szkoły parafialne. Jednocześnie rozwinęli prężne duszpasterstwo, sprawując posługę w dwóch obrządkach: łacińskim i słowiańskim. Misja zdobywała wielu sympatyków i przyjaciół. Jednym z nich stał się p. Walenty Jakóbiak, który w 1907 roku ofiarował Misji obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z niniejszym podpisem: „Przewielebnemu dyrektorowi ojcu Wilemskiemu Xaweremu, najczcigodniejszemu i najgorliwszemu Apostołowi Polaków i najdroższemu Przyjacielowi. Oby ten obraz był przyczyną pociechy i wszelkich łask dla Zgromadzenia Ojców Zmartwychwstańców i dla wszystkich katolików na Wschodzie. Walenty Jakóbiak z rodziną prosi o modlitwę. Lwów, dn. 1 maja 1907." Wizerunek od początku otaczany był czcią i nabożeństwem.

W roku 1928 Zmartwychwstańcy zmuszeni byli zamknąć gimnazjum, zaś rok później podzielili los Bułgarów, opuszczając Adrianopol. W tułaczkę, oprócz innych cennych pamiątek i paramentów zabrano także obraz Częstochowskiej Bogurodzicy i dwa pozłacane anioły, które stanowiły z nim całość. Relikwię przewieziono do bułgarskiego miasta Stara Zagora, umieszczając ją w nowo zbudowanej świątyni. I tutaj Zmartwychwstańcy rozwinęli prężną działalność duszpastersko-dydaktyczno-wychowawczą, zakładając małe seminarium. Niestety, i Stara Zagora okazała się przystankiem peregrynacji obrazu na ziemi bułgarskiej. W 1960 r. władze komunistyczne zmusiły Zmartwychwstańców do opuszczenia placówki i zamknięcia kościoła. W wędrówkę wyruszył także obraz. Ojcowie chcieli znaleźć dla niego najbezpieczniejsze miejsce. Tak oto obraz znalazł się w Małko Tyrnowo, gdzie przyjęty został z miłością i otoczony modlitwą.

33 lata później, 26 czerwca 1993 r., po wielu trudnych momentach kościoła w Małko Tyrnowo, ks. bp Metody Stratiev poświęcił skromną kaplicę ku czci Matki Boskiej Częstochowskiej, Patronki Jedności Chrześcijan, wyrażając nadzieję, iż stanie się ona bułgarską „małą Częstochową". W uroczystości tej wzięli udział m.in. p. Tadeusz Wasilewski wraz z małżonką, ówczesny ambasador RP, ks. bp Leo Nowak z Magdeburga, a także wielu kapłanów i wiernych z całej diecezji sofijskiej. W liturgii uczestniczyli także wierni miejscowej parafii prawosławnej, z jej proboszczem na czele.

W roku 1999 obraz został poddany gruntownej konserwacji w Sofii. Z okazji Roku Wielkiego Jubileuszu ks. bp Christo Proykow – ordynariusz diecezji sofijskiej – ogłosił kaplicę Matki Boskiej Częstochowskiej miejscem uzyskania odpustu jubileuszowego. W tym czasie do małkotyrnowskiego sanktuarium przybyło wielu pielgrzymów. Główne uroczystości zorganizowane zostały w ramach pierwszej pielgrzymki wiernych diecezji sofijskiej. Uroczystościom przewodniczył ordynariusz diecezji.

Trudno jest określić dokładne pochodzenie obrazu. Prawdopodobnie powstał on na początku ubiegłego stulecia. Sygnatura: „Zakład rzeźbiarsko-pozłotniczy we Lwowie" zdaje się świadczyć, iż wykonany został we Lwowie.

Matka Boska Częstochowska Patronka Jedności Chrześcijan w swym wizerunku przemierzyła szlak tułaczki Zmartwychwstańców, niejednokrotnie stając się dla nich pociechą i umocnieniem. Dziś zdaje się być taką pokrzepicielką dla wszystkich katolików w Bułgarii, pośród których są także Polacy.

opr.: ks. Roman Kotewicz
ks. Lucjan Bartkowiak

O Bibliotece Polskiej z dwóch punktów widzenia

Biblioteka Polska w Paryżu istnieje od ponad stu pięćdziesięciu lat, służąc Polakom na emigracji – a jednocześnie będąc polskim dobrem narodowym. Przygotowania do niezbędnego remontu budynku zbiegły się w czasie z dyskusją na temat prawa własności obiektu na Wyspie Św. Ludwika i cennych zbiorów Biblioteki, zarządzanych od lat przez Towarzystwo Historyczno-Literackie. Grono członków THL sprzeciwiło się planom Zarządu Towarzystwa, który podjął rozmowy z Polską Akademią Umiejętności, mające na celu uregulowanie sytuacji prawnej Biblioteki. Przeciwnicy negocjacji z PAU powołali Stowarzyszenie Obrony Biblioteki Polskiej, którego Zarząd ukonstytuował się w styczniu br. Od kilku miesięcy w prasie krajowej i polonijnej pojawiają się apele Stowarzyszenia bądź teksty nimi inspirowane, niekiedy dyktowane bardziej emocją niż wiedzą. Paryski „Głos Katolicki" na swych łamach już w grudniu ubiegłego roku zarzucał Polskiej Agencji Prasowej jednostronność i nieścisłość informacji dotyczących Biblioteki. Prawdy najlepiej dochodzić u źródła – poprosiłam zatem obie strony o przedstawienie ich stanowiska.

Zachować Bibliotekę nad Sekwaną

rozmowa z p. Kazimierzem Piotrem Lubicz Zaleskim, dyrektorem Biblioteki Polskiej w Paryżu

Skoro dzisiejsza sytuacja Biblioteki Polskiej w Paryżu jest skomplikowana, postarajmy się ją wyjaśnić, opierając się na faktach i historii. W wielkim skrócie wygląda ona tak: Biblioteka powstała w pierwszej połowie XIX wieku, ale pod koniec tegoż wieku została przekazana przez emigrację Polskiej Akademii Umiejętności z Krakowa. Po drugiej wojnie światowej znalazła się pod administracją francuską, a następnie została przekazana Towarzystwu Historyczno-Literackiemu, czyli THL. Czy się mylę?

To nie jest dokładnie tak. Po drugiej wojnie światowej, w latach pięćdziesiątych, polski rząd komunistyczny chciał przejąć Bibliotekę na rzecz Polskiej Akademii Nauk, stworzonej po wojnie na wzór sowiecki. Argumentem był fakt, że Biblioteka w Paryżu była własnością Polskiej Akademii Umiejętności, która decyzją ówczesnych władz polskich była zawieszona, a jej majątek przekazano PAN.

Czy może mi Pan powiedzieć, jaki był status prawny Biblioteki Polskiej w chwili wybuchu drugiej wojny światowej? Czy rzeczywiście stanowiła – tak budynek, jak i zbiory – własność Polskiej Akademii Umiejętności?

Nie tylko w chwili wybuchu wojny, ale nawet zaraz po wojnie była własnością PAU – i dopóki Akademia działała, nikt tego nie kwestionował. Była własnością Akademii, jej dyrektorem był pan Franciszek Pułaski, działający z ramienia PAU, przez Akademię mianowany – i jeszcze po wojnie pozostający

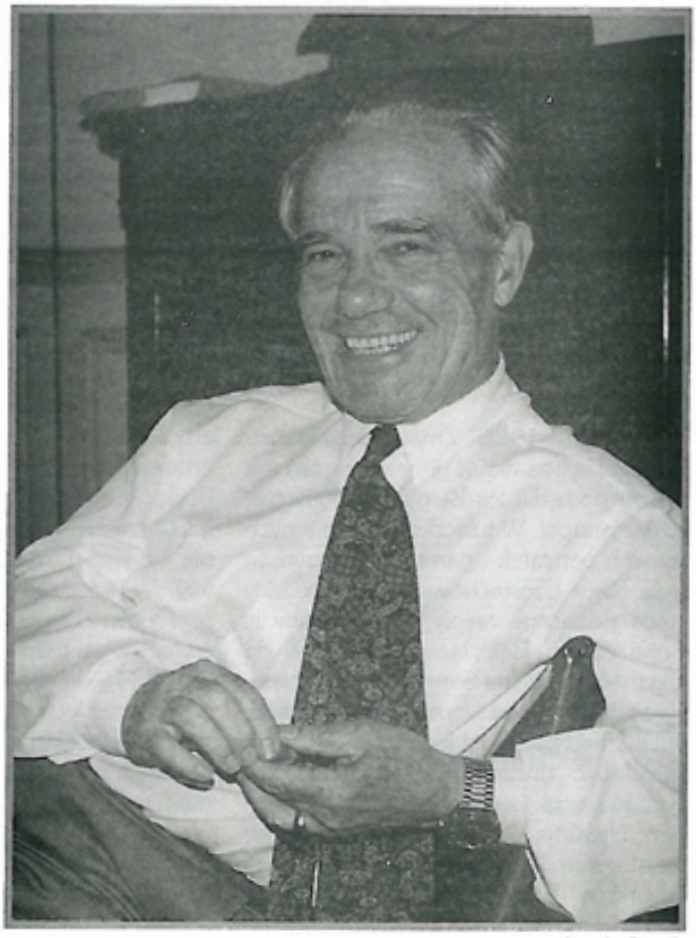

fot. A. Panecka

z nią w kontakcie. PAU nawet przyczyniła się do powrotu naszych zbiorów do Paryża – tych wywiezionych przez Niemców i znajdujących się w strefie okupacji sowieckiej.

Czy istnieje jakiś dokument – po polskiej lub francuskiej stronie – czyli akt własności Biblioteki?
Naturalnie – jest to akt notarialny warunkowego przekazania Biblioteki w 1893 roku...

Warunkowego przekazania? – jak to rozumieć?
To znaczy, że Akademia Umiejętności zobowiązała się utrzymać pewną działalność, jak na przykład zapewniony dostęp do Biblioteki Polskiej, jej czytelni i trzech muzeów, organizowanie pielgrzymki dla Polaków na cmentarz w Montmorency oraz uroczystości 3 Maja itd.

Przekazano zatem i budynek, i zbiory?
W akcie notarialnym zbiory nie są wymienione.

Czyli – czyją własnością są zbiory?
Zostały przekazane Akademii, ale umową warunkową prywatną, pomiędzy PAU a THL.

Czyli zbiory Biblioteki nie mają prawnego właściciela?!
Jeśli chodzi Pani o kwestie prawne, to sprawa jest skomplikowana i rozmaite mogą być opinie. Kolekcje sprzed 1893 roku były przekazane umową prywatną warunkową, a nie aktem notarialnym. Nie ma aktu notarialnego, jest natomiast umowa warunkowa, na mocy której przekazano zbiory. Akademia Umiejętności administrowała nimi do końca lat czterdziestych, oczywiście z przerwą na lata wojny, kiedy Niemcy okupowali Bibliotekę. Wszystkie nabytki z lat od 1893 do, powiedzmy, pięćdziesiątego, przechodziły pod zarząd PAU jako jej własność. Trudno to zanegować, choć jest oczywiste, że status budynku jest trochę inny niż kolekcji, przekazywanej w oparciu o umowę prywatną warunkową, a nie aktem notarialnym. Jeśli zaś chodzi o kolekcje pozyskane później, w okresie, gdy Biblioteką zarządzało nasze Towarzystwo, to naturalnie należą do THL.

Tu konieczne jest uzupełnienie historyczne...
Rzeczywiście. Otóż THL w końcu XIX wieku, po przekazaniu PAU Biblioteki, przestało praktycznie istnieć. Z tym, że nigdy się nie rozwiązało, nie było takiego aktu – po prostu nikt nie podejmował działalności, ludzie umierali. Po drugiej wojnie światowej, jeszcze w latach czterdziestych, postanowiono reaktywować działalność Towarzystwa. Trzeba podkreślić, że wówczas nie żył już żaden z członków Towarzystwa z końca XIX wieku. Co ciekawe, administracja francuska uznała legalność THL jako kontynuatora Towarzystwa, natomiast sąd francuski twierdził, że nie ma ciągłości, właśnie ze względu na brak choćby jednego członka z poprzedniej epoki.

A to ma takie znaczenie? – reaktywowano przecież instytucję, która wobec prawa nigdy nie była rozwiązana?
Naturalnie, że ma ogromne znaczenie – według sądu, w braku żyjących członków, jest to reaktywowanie nazwy, ale nie tego samego Towarzystwa. Różnica może subtelna, ale istotna – nie uznawanie przez sąd ciągłości THL było też istotne w sporze sądowym z PAU.

Ale przecież Polska Akademia Umiejętności w latach pięćdziesiątych była w takiej samej sytuacji!
Oczywiście. I w latach pięćdziesiątych jej praw bezpośrednich sąd francuski też nie uznał, ponieważ PAU była zawieszona, a nie można było mówić o ciągłości między PAU i PAN..

Czyli doszliśmy do sedna sprawy? Kiedy odbyła się ta sprawa w sądzie?
Trochę przeskoczyliśmy, wróćmy do lat czterdziestych, kiedy to grupa osób – Kajetan Morawski, mój ojciec Zygmunt Zaleski, Henri de Montfort, książę Andrzej Poniatowski i inni – odtwarzają THL. Ludzie ci stwierdzili, że Polska Akademia Umiejętności nie jest już w stanie kontynuować swoich zobowiązań wobec Biblioteki, zagrożona przez niedemokratyczny rząd i bliska rozwiązania. Widząc perspektywę przejęcia Biblioteki przez rząd pozostający pod dyktatem sowieckim, wytoczyli proces ówczesnemu rządowi polskiemu i utworzonej przezeń Polskiej Akademii Nauk, przedstawianej jako kontynuatorka PAU, aby odzyskać Bibliotekę Polską na rzecz reaktywowanego THL. Było to na początku lat pięćdziesiątych. W pierwszej instancji sąd stanął po stronie komunistycznego rządu polskiego. Apelacja w 1959 roku przyniosła inny wyrok, oparty właśnie na braku ciągłości: sąd uznał, że tak THL, jak i PAU, która wtedy była zawieszona, nie mogą wykazać ciągłości z Towarzystwem i Akademią z końca XIX wieku i praw do Biblioteki żadnej ze stron nie przyznał. A skoro nie orzeczono, kto jest właścicielem – ustanowiono francuskiego administratora sądowego. Ów administrator podtrzymał zawartą jeszcze przez delegata PAU, dyrektora Franciszka Pułaskiego, umowę dzierżawną ze Stowarzyszeniem Rzymsko-Katolickim z Chicago, dzięki któremu Biblioteka pozyskiwała fundusze. Stowarzyszenie chicagowskie było nam, oczywiście, przyjazne, THL stał się więc podnajemcą budynku Biblioteki, a po wygaśnięciu umowy ze stroną amerykańską – jego bezpośrednim dzierżawcą. Kolejne przedłużenie umowy określa termin dzierżawy na rok 2030.

To jest dzierżawa obiektu – a co ze zbiorami?
To nie jest sprecyzowane, ale traktuje się łącznie, budynek wraz z kolekcjami sprzed 1950 roku, które nie miały odrębnego statusu prawnego.

THL odtworzyli przedstawiciele polskich rodzin od dawna zasiedziałych we Francji...

Pomagali im także przyjaciele – Francuzi. W XIX wieku do Towarzystwa należeli też Francuzi. Tak więc w sprawy Biblioteki od dawna zaangażowana jest nie tylko emigracja – ale także Francuzi, czy osoby pochodzenia polskiego, nie mówiące już po polsku, jak książę Andrzej Poniatowski, Kamil Gronkowski i Jean-Luc Granier.

Wbrew pozorom chcę wrócić do relacji THL – PAU. Akademia wznowiła działalność z początkiem lat dziewięćdziesiątych – ale problem własności Biblioteki Polskiej w Paryżu wynikł stosunkowo niedawno, w okresie przygotowań do remontu budynku. Dlaczego powstał konflikt wokół porozumień z Polską Akademią Umiejętności?

Po kolei... Jeśli chodzi o remont, to zaznaczam, że budynek Biblioteki wzniesiono w XVII wieku, i oczywiście, nie przygotowano go na tak wielkie obciążenia, jakie niesie przechowywanie księgozbiorów. Poza remontem przeprowadzonym w latach dwudziestych, prowadzono tu jedynie prace dla usunięcia zniszczeń spowodowanych przez Niemców oraz fragmentaryczne prace, jak na przykład urządzenie dobrego magazynu dla rękopisów w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych z funduszu Fundacji dla Nauki Polskiej czy też remont pięknej klatki schodowej. Zważywszy, że nasz księgozbiór wciąż się powiększa, obciążenie niektórych pięter było za duże. Mieliśmy tu już załamanie stropu w sali zebrań, groziły następne. Kiedy w czerwcu 1999 roku zostałem wiceprezesem THL i dyrektorem Biblioteki, zamówiłem ekspertyzę budynku, a przy okazji także zbiorów. Wyniki obydwóch były wysoce niepokojące. Ostatnio książki magazynowano w piwnicach – niektóre z nich były tak zapełnione, że nie można było już nawet wejść. Piwnice są wilgotne, mnóstwo kurzu – niektóre książki zaczęły butwieć, rozprzestrzeniał się grzyb, zaczęły niszczeć nie tylko podwójne czy potrójne egzemplarze, których też przecież szkoda. Trzeba było szybko coś z tym zrobić. Biblioteka musi mieć magazyny z prawdziwego zdarzenia, zabezpieczenia przed wahaniami temperatury, wilgotności, filtry powietrza. Trzeba też zinwentaryzować jej zbiory, wyzbyć się książek niepotrzebnych, które napływały w kolejnych darowiznach, a także zająć się konserwacją kolekcji. Tak więc w marcu ubiegłego roku zdecydowaliśmy się zamknąć Bibliotekę, żeby przeprowadzić skontrum i przygotować się do prac remontowych, zapakowania i przeniesienia zbiorów. Nasza stara kolekcja sprzed 1939 roku liczy blisko 100 tysięcy tytułów, niestety, już wiemy, że ok. 850, i to cennych, zniknęło – prawdopodobnie je ukradziono.

To wstrząsające, aż trudno uwierzyć. Pan, widzę, pogodził się z faktem.

I tak, i nie. Z wiatrakami nie można walczyć, ale robimy co możemy, aby polepszyć sytuację. Proszę Pani, skontrum normalnie robi się co pięć – dziesięć lat, tu zaś nie robiono go od pięćdziesięciu co najmniej. Stare nasze kolekcje były pokryte grubą warstwą kurzu – księgi z XV wieku, unikaty. Tę pracę już zakończyliśmy, teraz spisujemy nowsze nabytki. Piwnice są już oczyszczone, książki spakowane, większość z nich – te mniej cenne – wywieźliśmy do specjalnych magazynów poza Paryż, te najcenniejsze chcemy zabezpieczyć tutaj, choć to bardzo skomplikowane podczas robót. Ale nie wykluczam, że trzeba je będzie również złożyć w jakimś magazynie.

Mamy też bardzo dużą kolekcję dzieł sztuki, ok. 30 tysięcy obiektów – grawiur, rysunków, obrazów, rzeźb. Były dotychczas źle przechowywane, wystawione na słońce, niektóre zaginęły, co też wykazało skontrum dzieł sztuki, które się teraz odbywa.

fot. A. Panecka

Smutne są efekty tych Pańskich porządków w Bibliotece – wynika z nich, że więcej było zapału i dobrej woli niż umiejętności.

To nie efekty moich porządków są smutne. Moje porządki ukazały jasno smutną rzeczywistość. Nie chcę krytykować moich poprzedników, bo wiem, że z poświęceniem robili co tylko mogli. Myślę, że główną przyczyną problemów był brak funduszy – na zabezpieczenie kolekcji i budynku, na opłacanie pracowników. Budżet Biblioteki zawsze był za niski – mimo pomocy z Ameryki, z Fundacji Lanckorońskich, która przekazała ostatnią wpłatę 100 tysięcy franków...

To raczej niewiele...

Kiedyś Fundacja ta dawała ponad milion, ale powoli zmniejszyła dotacje.

A od kiedy i w jakiej wysokości finansuje Bibliotekę Fundacja Zaleskich?

Fundacja im. Zygmunta Zaleskiego – Zygmunt Zaleski Stichting, w skrócie ZZS – pomaga od wielu lat, obecnie w wysokości 70% rocznego budżetu, czyli 2,3 – 2,4 mln franków.

Na podstawie jakiejś umowy z Biblioteką?

Nie ma żadnej umowy, to jest darowizna, której wysokość może się zmienić. Fundacja ZZS chce pomagać Bibliotece – to jest w jej statucie – ale już w tej chwili stwierdzamy, że potrzeby są większe niż zakładaliśmy. Minimalny budżet roczny Biblioteki to według mnie 3,5 mln franków – trzeba je tylko mieć. Zdarzają się zapisy testamentowe i darowizny, jakieś legaty...ale to jednorazowa pomoc.

A z jakich funduszy finansowany będzie remont?

To jest inny problem. Potem będziemy mieli kolejny – ze środkami na konserwację. Już teraz działamy w porozumieniu z Biblioteką Narodową w Warszawie i konserwatorami dzieł sztuki z Polski, aby w pierwszej kolejności ratować obiekty najbardziej zagrożone. Ile zaś będzie kosztował remont trudno w tej chwili określić, ponieważ opieramy się na projekcie architektonicznym i dopiero zaczynamy konsultacje z wyspecjalizowanymi firmami budowlanymi, a mamy ich trzydzieści. Według wstępnych ocen koszt remontu wyniesie ok. 20 mln franków. W tej chwili mamy zapewnione 12,5 mln, m.in. ze „Wspólnoty Polskiej" – około 4 mln franków, nie licząc pieniędzy przekazanych w ubiegłym roku na ekspertyzy i projekt, Fundacja Zaleskich gwarantuje w tym roku 5 mln, na rok przyszły – o 2,5 mln więcej. Liczymy też na rząd polski, a także na władze francuskie, które też powinny się do tego wielkiego przedsięwzięcia przyczynić, choćby dlatego, że jesteśmy prawnie instytucją francuską. Moim zdaniem tego typu instytucje jak Biblioteka powinny być finansowane z funduszy prywatnych, ale w połączeniu z subwencjami państwa, w tym przypadku – obu. To jest najlepsza sytuacja dla takich placówek, które zachowują dzięki temu niezależność, a jednocześnie stabilność finansową. W każdym razie z naszej inicjatywy powstało w tym roku w Paryżu nowe stowarzyszenie „Pomocy Bibliotece Polskiej w Paryżu", którego prezesem honorowym jest pan Jean – Bernard Raimond, poseł, a niegdyś minister spraw zagranicznych Francji, prezesem – hrabina Isabelle d'Ornano, a wiceprezesem hrabia Florian Walewski. Staramy się, aby podobna fundacja, pozyskująca prywatnych sponsorów, powstała w Polsce.

fot. A. Panecka

W 1999 roku podjął się Pan „wielkiego sprzątania", namówił Pan rodzinną fundację, żeby za to płaciła – i ma Pan kłopoty?

To niezupełnie tak. Fundacja ZZS już od wielu lat pomagała Bibliotece. Mój ojciec był zaangażowany w sprawy Biblioteki od 1914 roku, kiedy

pracował tu jako wolontariusz, a później wraz z Marią Curie-Skłodowską i panią Mickiewiczówną należał do Komitetu Lokalnego, który podczas pierwszej wojny światowej opiekował się Biblioteką. Po drugiej wojnie był jednym z tych, którzy odtwarzali THL, by ocalić Bibliotekę przed przejęciem przez komunistów.

Czyli to rodzinne poczucie odpowiedzialności za Bibliotekę?
Odpowiedzialność to może za mocne słowo – ale jesteśmy związani z nią tak długo... Oczywiście, kiedy zająłem się Biblioteką i zobaczyłem, jakie są realne potrzeby, to przyczyniłem się do tego, aby pomoc ZZS się zwiększyła. Było to możliwe dzięki udanej działalności finansowo-przemysłowej mego brata Romana. Ja z kolei mam spore doświadczenie, sprawdzone podczas lat pracy we Francji i w Stanach Zjednoczonych, w prowadzeniu różnych stowarzyszeń i firm.

Wróćmy więc do relacji THL – PAU. Ostatnio pojawiło się Stowarzyszenie Obrony Biblioteki Polskiej ze swoimi apelami, przeciwstawiając się porozumieniu z PAU – o co w tym wszystkim chodzi?
O, to są sprawy niezależne. Jeśli chodzi o Polską Akademię Umiejętności, już w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych prezes Leszek Talko i pan Władysław Tarnowski, ówczesny skarbnik THL, prowadzili pierwsze rozmowy z PAU, ale do żadnych uzgodnień nie doszło. W lipcu 1999 roku dowiedzieliśmy się z komunikatu PAP, że prof. Kazimierz Kowalski i prof. Jerzy Wyrozumski, czyli prezes i sekretarz PAU, udali się do prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który jest protektorem PAU, by prosić go o pomoc w odzyskaniu własności Biblioteki. W tej sytuacji nasza Rada zadecydowała, że należy podjąć rozmowy z PAU. Równocześnie Fundacja ZZS, która wtedy dawała już sporo pieniędzy na Bibliotekę, chciała wiedzieć, jaki jest jej status prawny. Biblioteka wciąż ma administratora sądowego i nie wiadomo, do kogo należy.

Czyli ZZS zaczęła pakować miliony w budynek, który może stać się siedzibą jakiejś instytucji par excellence francuskiej?
Nie przypuszczam, aby tak się stało, ale teoretycznie jest to możliwe. W każdym razie nie wiadomo, do kogo należy. Na rozpoczęcie prac remontowych na przykład musimy uzyskać zgodę administratora sądowego.
ZZS zamówiła ekspertyzę prawną, pragnąc wyjaśnić status Biblioteki, dowiedzieć się, czy i kto może odzyskać prawo własności, kto ma jakiekolwiek prawa. Zwróciliśmy się do pana Michela Olivier, który był niegdyś sędzią sądu kasacyjnego i prezesem sądu apelacyjnego, a ze sprawami Biblioteki był zaznajomiony. W jego opinii ani nasze Towarzystwo, ani żadna inna organizacja – czy to Komitet Lokalny, czy nowe stowarzyszenie – nie mają szans na uzyskanie prawa własności bez porozumienia się z Polską Akademią Umiejętności. Tak więc w 1999 roku mieliśmy te dwie informacje – że bez rozmów z PAU nic się zrobić nie da, a także o wizycie przedstawicieli PAU u pana prezydenta Kwaśniewskiego i propozycji powołania Fundacji, finansującej Bibliotekę, łączącej Kancelarię Prezydenta, ministerstwa spraw zagranicznych i kultury etc. Spotkaliśmy się w Warszawie z władzami PAU, stwierdzając, że idee i cele mamy podobne, że wszyscy chcemy zachować ten obiekt i kolekcję w dobrym stanie i w Paryżu otworzyć Bibliotekę dla szerszej publiczności, nie tylko emigracji francuskiej, ale dla całej Polonii i gości z kraju. Okazało się też, że nikt nie myśli o sprowadzaniu naszych zbiorów do Polski, czego emigracja obawia się po doświadczeniach lat międzywojennych, kiedy przeniesiono do kraju kolekcję Rapperswilu, a rząd polski chciał i naszą Bibliotekę przewieźć jako skarb narodowy.

Skarb narodowy to jest, ale sporo się zmieniło i w interesie Polski leży raczej istnienie takich placówek za granicą.
Można dyskutować tę kwestię długo – ja uważam, że mamy obowiązek respektować decyzje naszych przodków i zachować Bibliotekę nad Sekwaną. Panowie Wyrozumski i Kowalski byli tego samego zdania, znaleźliśmy w nich ludzi czcigodnych, myślących demokratycznie, legitymujących się zaufaniem dwóch członków honorowych Akademii – Ojca Świętego Jana Pawła II i red. Jana Nowaka Jeziorańskiego. Jestem więc przekonany, że możemy i powinniśmy dążyć do ugody z PAU. Moim zdaniem trzeba brać pod uwagę przede wszystkim sprawy prawne, i to w świetle prawa francuskiego, któremu podlegamy. Od tego nie ma odwrotu. Nie ma powodu, by walczyć z PAU, która jest instytucją prywatną i czcigodną i skoro możemy się dogadać, a w przyszłości możemy być partnerami i konstruktywnie pracować dla dobra naszej Biblioteki. Byłem bardzo szczęśliwy, że udało się namówić moich rozmówców z PAU na koncepcję współwłasności. Powoływali się początkowo na swoje prawo własności – ale my mieliśmy za sobą moralne prawo, jakie daje nam zajmowanie się Biblioteką od lat pięćdziesiątych, w trudnych warunkach. I oni to uznali, godząc się na współwłasność, co jest jedynym korzystnym dla nas rozwiązaniem, biorąc pod uwagę ekspertyzę prawną. Akademia w latach powojennych nie miała możliwości wywiązania się ze swych obowiązków wobec Biblioteki nie ze swej winy, przecież to była siła wyższa – byłoby nieetycznie odmawiać jej jakichkolwiek praw. Z tego, co wiem, głównym motywem Akademii jest zachowanie Biblioteki dla wspólnoty polskiej na świecie, na czym i nam zależy. Chodzi więc o to, by Biblioteka była polską własnością emigracyjną nie tylko moralnie, ale i wobec prawa – i teraz są szanse na doprowadzenie sprawy do końca. Nie ma się co łudzić, w przyszłości i PAU, i THL będą musiały przede wszystkim szukać funduszy na funkcjonowanie Biblioteki. Nam przy tym potrzebna jest też pomoc intelektualna, którą PAU może zapewnić. Zależy nam na tym, żeby z tych zbiorów korzystano, a nie trzymano w zamknięciu – a iluż we Francji jest polonistów? – Niewielu, przy tym stara emigracja odchodzi, a nowi przybysze są mniej zainteresowani.

No właśnie – pomoc, współwłasność, korzystanie ze zbiorów. Czy nie to jest powodem zamieszania, jakie powstało w Paryżu wokół Biblioteki? Czy współwłasność nie została przypadkiem zinterpretowana jako przyzwolenie na wywiezienie części zbiorów na stałe?

Nie chciałbym mówić na ten temat zbyt wiele. Naturalnie nie ma mowy o wywiezieniu zbiorów z Paryża. Wszyscy są zgodni, że one tu muszą zostać. To jest nieporozumienie, przynajmniej taką mam nadzieję. Może są jakieś inne powody, ale chcę wierzyć, że grupa ludzi niezorientowanych kieruje się mitem Polski, która chce zabrać, która jest jeszcze niedemokratyczna, boją się, nie rozumieją zmian. Nie zdają też sobie sprawy, że zbiory bez pomocy fachowców z Polski zniszczeją. Nie chcą zrozumieć, że my nie oddajemy połowy Biblioteki, lecz zyskujemy ją – bo przecież prawnie cała była własnością Akademii. Poza tym my nie możemy zrealizować remontu bez załatwienia spraw własnościowych, bo tego sobie życzą nasi główni sponsorzy: „Wspólnota" i ZZS. Więc porządkujemy zbiory, starając się równocześnie i o pieniądze, i o potrzebne pozwolenia na prace remontowe – żeby dostać te pozwolenia, trzeba uzyskać zgodę siedemnastu urzędów francuskich. Zawsze bywały jakieś różnice zdań nawet w łonie Rady – ale tym razem mamy, na szczęście, jej pełne poparcie, i pomoc tych 15 osób, a także większości członków THL, zwłaszcza młodych.

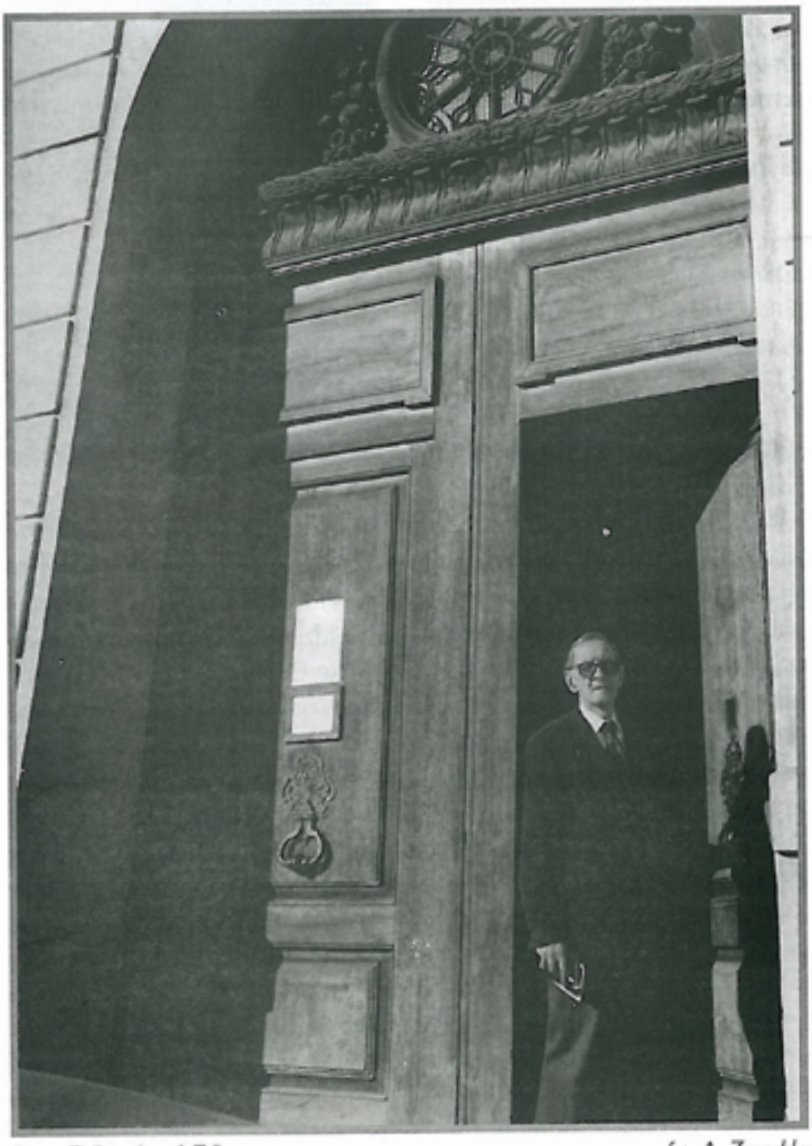

Prezes THL p. Leszek Talko — fot. A. Zawadzka

A czy Panowie próbowali wyjaśnić szerokiej publiczności, na czym w istocie problem Biblioteki polega? W „Głosie Katolickim", jedynym właściwie piśmie o dużym zasięgu, widziałam apele Stowarzyszenia Obrony Biblioteki – ale Wasz chyba przegapiłam.

Ma Pani rację, „Głos" dociera szerzej, do emigracji nie związanej z Biblioteką. I rzeczywiście publikował apele przeciwko nam. Napisaliśmy odpowiedź, w dwóch językach, prosząc o publikację. Ukazała się drobnym drukiem tylko wersja francuska, mimo ponowienia prośby. No cóż, apele Stowarzyszenia ukazywały się w obu językach, nam redakcja nie odmówiła druku, ale...

... ale Francja jest ojczyzną Świętoszka, Panie Dyrektorze...

Trzeba z tym żyć. Skoro nie mamy możliwości zwrócenia się do wszystkich, koncentrujemy się na razie na kontaktach z członkami THL i dbamy o ich zrozumienie dla naszych poczynań. Frakcja przeciwna naszym działaniom szermuje argumentami sentymentalnymi, podkreśla, że Biblioteka jest dobrem emigracji i do niej należeć powinna. Nie mówią za to nic o tym, że współwłasność umacnia naszą pozycję w świetle prawa, zapewniając przy tym pomoc partnera dysponującego zapleczem intelektualnym i fachowym. Biblioteka jest, jak mi się zdaje, dobrem wszystkich Polaków – i tych na emigracji, i tych w kraju – i powinna służyć wszystkim zainteresowanym. Chcemy zostawić przyszłym pokoleniom i budynek, i zbiory w dobrym stanie, uporządkowane i zabezpieczone. I na to trzeba sporo czasu poświęcić. Tymczasem robi się szum, że chcemy oddać zbiory, co jest zupełnie nieprawdziwe – nikt niczego nie zabiera! Współdziałanie z PAU jest koniecznością – utwierdziła nas w nim ostatecznie kolejna ekspertyza, którą zamówiliśmy po otrzymaniu od naszej opozycji raportu, sugerującego sposoby odzyskania prawa własności Biblioteki bez ugody z Akademią krakowską. Ta nowa analiza prawna dwóch niezależnych prawników francuskich, Yves Guyona i Jean Schmidta, była jeszcze bardziej kategoryczna niż pana Olivier – sugestie otrzymania własności bez ugody z PAU są zupełnie nierealne.

Dziękuję za rozmowę.

rozmawiała Agnieszka Panecka

Chętnie bym pomógł

rozmowa z ks. prałatem Stanisławem Jeżem, rektorem Polskiej Misji Katolickiej we Francji

„Głos Katolicki", pismo Polskiej Misji Katolickiej, zaangażował się w sprawę Biblioteki Polskiej w Paryżu, publikując apele Stowarzyszenia Obrony Biblioteki Polskiej, polemizując ostro z publikowanymi przez Polską Agencję Prasową informacjami na jej temat. W ślad za „Głosem" prasa polonijna zaczęła publikować dramatyczne wezwania o ratunek dla Biblioteki. Interesuje mnie więc stanowisko Księdza Rektora wobec sytuacji, jaka wytworzyła się wokół Biblioteki.

„Głos" jest organem PMK i Misja otworzyła łamy – wolna prasa jest otwarta dla każdego, kto chce się wypowiedzieć – również dla Stowarzyszenia Obrony Biblioteki Polskiej. Członkowie tego stowarzyszenia nie są przeciwnikami ani samej Biblioteki, ani też jej dyrekcji, która myśli inaczej niż oni.

Zatem – o co chodzi?

Chodzi o sprawę bardzo konkretną – by Biblioteka Polska pozostała instytucją niezależną od władz Rzeczypospolitej. Oczywiście, przy ścisłej współpracy z Polską, z naukowcami z naszej ojczyzny. Emigrację stać na to, żeby Biblioteka, która obroniła swoją niezależność w 1959 roku, kiedy chciano ją przekazać Polskiej Akademii Nauk, czyli władzom komunistycznym, pozostała jej własnością. Wtedy na szczęście znaleźli się ludzie, którzy obronili Bibliotekę z pomocą Francuzów. Sprawa oparła się o parlament francuski, dzięki wielu przyjaciołom Polski niepodległej została zachowana.

Ale przecież teraz władze polskie nie występują o Bibliotekę, to jakieś nieporozumienie – chodzi o współwłasność PAU.

Według statutu Polskiej Akademii Nauk z 1993 roku – my raczej opieramy się na dokumentach, nie na emocjach – z dwóch wiceprezesów PAN-u jeden musi być wybrany spośród członków Akademii zamieszkałych w Warszawie. Aktualnie, jeśli nic się nie zmieniło w ostatnich tygodniach, wiceprezesem PAN-u jest prezes Polskiej Akademii Umiejętności, jeśli się nie mylę! Czyli obie te organizacje prawie się identyfikują.

Ależ skąd! – nie za daleko idące wnioski Ksiądz wyciąga?

Zaraz – zgodnie ze statutem Polskiej Akademii Umiejętności, który przysłali nam panowie z Krakowa, PAU jest instytucją „powołaną do pielęgnowania nauki" – wszystko pięknie – „jako instytucja narodowa użyteczności publicznej pozostaje pod opieką władz państwa" – czyli jest instytucją państwową – w szczególności zaś pozostaje „pod protektoratem Prezydenta

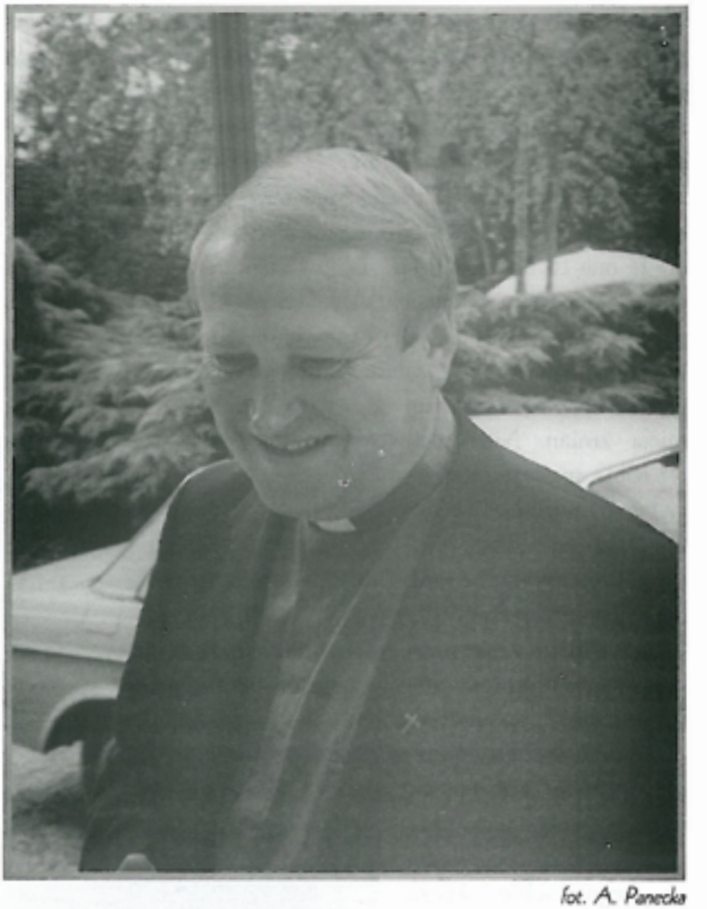

fot. A. Panecka

Rzeczypospolitej". Dalej w statucie PAU czytamy, że jeden z wiceprezesów musi być wybrany spośród członków zamieszkałych w Warszawie, a „wybór prezesa Akademii wymaga zatwierdzenia Prezydenta Rzeczypospolitej." Podobnie – wiceprezesów i sekretarza generalnego. Z lektury obu statutów wynikają ścisłe powiązania PAU z Polską Akademią Nauk, której rolę tak w przeszłości, jak i obecnie dobrze znamy.

Ale w sprawie paryskiej Biblioteki macie do czynienia z Akademią Umiejętności, a nie z Akademią Nauk.

PAU zależy finansowo od Polskiej Akademii Nauk, w rzeczywistości jest więc od PAN zależna. PAU stworzono po to, żeby pokazać, że w Polsce jest już demokracja.

Ksiądz Rektor dziwnie interpretuje – podobne zapisy w statutach nie świadczą jeszcze o tak ścisłych powiązaniach. Dobrze Ksiądz wie, że Polska Akademia Umiejętności odrodziła się z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości, z zależnością finansową też bym polemizowała.

Ale zależy nadal od PAN, ponieważ fundusze płyną z tego samego źródła.

Tak – są to pieniądze polskiego podatnika. Gdzież tu bezpośrednia zależność?

Nie szkodzi. Proszę mi za to powiedzieć, ile ze swej własności, ile budynków przejętych przez PAN odzyskała Akademia Umiejętności.

Niewiele, o ile wiem.
Tu chodzi o kontekst polityczny, proszę Pani. W Polsce instytucje takie jak PAN i PAU zależą bezpośrednio od państwa. Dowodem na to, że sytuacja nie jest jeszcze normalna, jest sytuacja Polskiej Szkoły w Paryżu, której budynki nadal pozostają w gestii PAN.

Ksiądz jest blisko ulubionego tematu, a mnie interesuje dziś Biblioteka Polska w Paryżu – powiedział Ksiądz Rektor, że emigrację stać na jej utrzymanie. Można mieć co do tego wątpliwości, biorąc pod uwagę nienajlepszą kondycję finansową Biblioteki choćby tylko w latach powojennych. Biblioteka została przecież w końcu XIX wieku przekazana Polskiej Akademii Umiejętności przez emigrantów, aby PAU ponosiła ciężar jej utrzymania.
Proszę Pani, Biblioteka została założona przez polską emigrację, w 1853 roku zakupiono budynek na Wyspie Św. Ludwika, w 1854 – powstało Towarzystwo Historyczno-Literackie, które w 1866 roku uzyskało status stowarzyszenia użyteczności publicznej, w rok później stając się prawnym właścicielem budynku i wszystkiego, co się w nim znajduje. W kilkanaście lat później w Towarzystwie wyłoniła się orientacja, dążąca do zabezpieczenia bytu Biblioteki i oddania jej pod opiekę Akademii Umiejętności, utworzonej w Krakowie w 1871 roku. Projekt ten dojrzewał nie bez silnych oporów wewnętrznych i opozycji emigracji. Niestety, w 1891 roku została podpisana konwencja pomiędzy Towarzystwem i krakowską Akademią, do czego niemało przyczyniło się wejście w poczet członków Akademii niektórych członków Towarzystwa. Z tej umowy zrodziły się potem wszystkie trudności Biblioteki Polskiej w Paryżu. Ówczesna Akademia cieszyła się dużą niezależnością dzięki liberalnej polityce Austrii, dzisiejsza zaś uzależniona jest statutowo, jak i finansowo od władz polskich, nie ma pieniędzy nawet na opłacanie własnych pracowników – w żadnej mierze nie może się więc zobowiązać do utrzymania Biblioteki nad Sekwaną. Słowem – Biblioteka straci swoją niezależność, przechodząc w ręce władz polskich. Nie ma racji, aby Biblioteka z instytucji stowarzyszeniowej stała się państwową.

No nie! – to już za duże uproszczenie.
Wcale nie – jeśli Biblioteka przejdzie pod zarząd PAU, która jest zależna od rządu, tym samym będzie uzależniona od sytuacji politycznej w Polsce. A ta może się zmienić, wielokrotnie się przecież zmieniała...

Pozwolę sobie zauważyć, że to normalne, we Francji też zachodzą zmiany.
Zaraz, zaraz – wraz z odzyskaniem niepodległości przez Polskę w 1918 roku Polska Akademia Umiejętności sugerowała likwidację Biblioteki! Na szczęście przeważyło stanowisko przyjaciół Biblioteki, zgodnie ze statutami tej instytucji. Niestety, w wyniku reorganizacji zbiorów bezprawną decyzją władz pozbawiono Bibliotekę Polską 65 588 tomów, wysłanych do Biblioteki Narodowej w Warszawie i do Akademii w Krakowie. Wysłano też do Polski bezcenny zbiór rycin obcych – 17 805 oraz 14789 kart rytowanych w albumach, w tym 75 rycin Rembrandta i 120 Duerera. Więc, skoro mówimy o zarządzaniu Biblioteką przez PAU, można zapytać, kiedy ta kolekcja powróci do Paryża. Nie mamy żadnej gwarancji, że historia się nie powtórzy. Przyzna Pani, że to mocny argument. Podobnie było z biblioteką Szkoły Polskiej w Paryżu, która została przewieziona do Polski w okresie rządów komunistycznych z kolei obecnie wszyscy pytają, gdzie jest teraz.

Ale tamte rządy należą już do historii, zmiany polityczne następują podobnie jak w innych demokratycznych państwach, a zbiory można zabezpieczyć odpowiednimi zapisami w umowie.
Od trzynastu lat rozmawiamy na temat powrotu instytucji, która powinna służyć szkole. Nie chcemy budynków, tak jak ostatnio napisał wiceprezes PAN – a to jest jeszcze jeden dowód na to, według jakich kryteriów i jakimi sposobami rządzi się w Polsce – wzywając do poinformowania ministerstwa skarbu, że rektor PMK w Paryżu założył stowarzyszenie obrony szkoły i walczy o szkołę, chcąc przejąć ją na własność Misji. Tak napisano w oficjalnym piśmie w maju tego roku. A tymczasem Rektor ma na uwadze dzieci, które odpadają od polskości ze względu na brak miejsca w szkole. Mówię o tym, ponieważ moim zdaniem analogiczna sytuacja będzie z Biblioteką.

Koncentrujmy się, proszę, na Bibliotece – wiem, że Szkoła jest Księdza ulubionym przykładem, pamiętam też z poprzedniej rozmowy tezę Księdza, że wszystko, co stworzyła w Paryżu Wielka Emigracja, powinno pozostać wyłącznie w emigracyjnych rękach.
Nie, nie – Szkoła Polska powinna być pod zarządem ministerstwa edukacji narodowej, a MEN nie potrzebuje pośrednika, któremu w czasach komunistycznych wynajęto te budynki, by brał teraz ukrytą dotację i zarabiał na pokojach hotelowych.

No to ja już Księdza nie rozumiem. Walczy Ksiądz o oddanie Szkoły przy rue Lamandé rządowi polskiemu poprzez jego ministerstwo, czyli o bezpośrednie podporządkowanie jej władzom polskim – a z drugiej strony sprzeciwia się współwłasności Polskiej Akademii Umiejętności w przypadku Biblioteki, choć PAU agendą rządową z pewnością nie jest.
Nie można porównywać rzeczy nieporównywalnych. Tu chodzi o szkołę działającą w oparciu o statut polsko-francuski.

Więc inaczej – dlaczego zdaniem Księdza grono mądrych i zacnych ludzi, przez poprzednie rządy z pewnością nie rozpieszczanych, nie może być zaangażowane w sprawy Biblioteki wspólnie z Towarzystwem Historyczno-Literackim na mocy porozumień sprzed stulecia? Jedno Ksiądz chce rządowi polskiemu oddać, drugiego broni, choć to tylko zasłużeni dla nauki profesorzy – przecież to sprzeczność.
To zupełnie różne sprawy. Budynki Szkoły zostały przekazane

Skarbowi Państwa, ponieważ chciano, aby przy rue Lamandé zawsze była szkoła. A ponieważ MEN jest patronem edukacji narodowej, dlatego powinien też zarządzać tą placówką, kierować nią w całości.

A gdyby zaszły w Polsce diametralne zmiany polityczne, których obawiał się Ksiądz przed chwilą – gdyby okazało się, że MEN zarządza szkołą i wprowadza nauczanie, które Wam nie odpowiada?

W 1927 roku, przekazując Szkołę państwu polskiemu nasi poprzednicy popełnili błąd – lepiej by było, gdyby nadal prowadzili ją sami. Myśleli, że Polska jest niezależna i wolna, dlatego też przekazali budynki na skarb państwa, z zastrzeżeniem, że zawsze będą siedzibą Szkoły Polskiej. I do lat pięćdziesiątych była tu szkoła – po czym wyrzucono wszystkie dzieci na bruk. Jestem przekonany, że analogiczna sytuacja może grozić Bibliotece Polskiej, jeśli stanie się zależna od organizacji bezpośrednio podporządkowanej państwu, a więc mającej budżet tylko od państwa. Organizacji, która nie ma pieniędzy nawet dla siebie.

Mądry Polak po szkodzie – skoro Ksiądz się obawia, że tak jak przed wojną zbiory Biblioteki zostaną wywiezione ...

Nie, nie – będę operował faktami, po kolei, ponieważ Pani chce mnie zapędzić w kozi róg, a ja przygotowałem ekspertyzy, zanotowałem sobie w punktach.

Nie chcę Księdza zapędzić, tylko czegoś się dowiedzieć. Więc proszę mi powiedzieć jedno – przecież wiele zależy od zawieranej umowy. Jeśli są dwa podmioty, mające prawa do Biblioteki, czyli spadkobiercy Towarzystwa Historyczno-Literackiego i również...

Proszę mi powiedzieć, skąd ta gorączka? Przecież do roku 2050 z punktu widzenia prawa francuskiego obowiązuje status quo. A tu nagle gorączka, do Watykanu napisano, że Bibliotece Polskiej w Paryżu grozi przejęcie przez władze francuskie.

Ks. biskup Stanisław Dziwisz odpisał mi, że dostał całą dokumentację z ramienia Biblioteki Polskiej, z której wynika, że Bibliotece grozi przejęcie przez państwo francuskie i dlatego trzeba się spieszyć.

To wniosek logiczny – gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci, który ma administracyjne prawo, czyli Francja, teoretycznie może dojść do wniosku, że najprostszym rozwiązaniem jest usunięcie przedmiotu sporu, nie uważa Ksiądz?

Wcale się nie trzeba kłócić, tylko trzeba dojść do porozumienia.

Też jestem tego zdania. Wracam więc do wątku formułowania odpowiednich umów – jeżeli obawiacie się, że zbiory mogą być wywiezione do Polski, czy nie wystarczy zastrzec prawnie, że nie mogą być przeniesione? Nota bene przynajmniej część z nich powinna na jakiś czas do kraju przecież pojechać – sami nie dacie sobie rady z konserwacją dzieł sztuki, o konserwacji papieru nie wspominając.

Jestem za tym, aby specjaliści z Polski – archiwiści, bibliotekarze, konserwatorzy – odegrali bardzo dużą rolę. Sprawa współpracy z Polską a sprawa własności to są dwie różne rzeczy. Jestem jak najbardziej za tym, żeby współpraca była jak najszersza. Jeżeli powstałaby na przykład fundacja, która byłaby właścicielem Biblioteki, albo gdyby THL wszedł w jej posiadanie, musiano by dbać o zdobywanie funduszy nie tylko na utrzymanie Biblioteki, ale też na konserwację jej zbiorów. Na mocy prawa francuskiego Towarzystwo Historyczno-Literackie może przyjmować darowizny i spadki bez konieczności płacenia podatków – to już jest wielki przywilej.

Fundacja właściwie jest – przecież Fundacja Zaleskich zaangażowała się w finansowanie Biblioteki.

Ale Fundacja Zaleskich się z nią nie identyfikuje. Ale to by była katastrofa, gdyby identyfikowała się z Biblioteką.

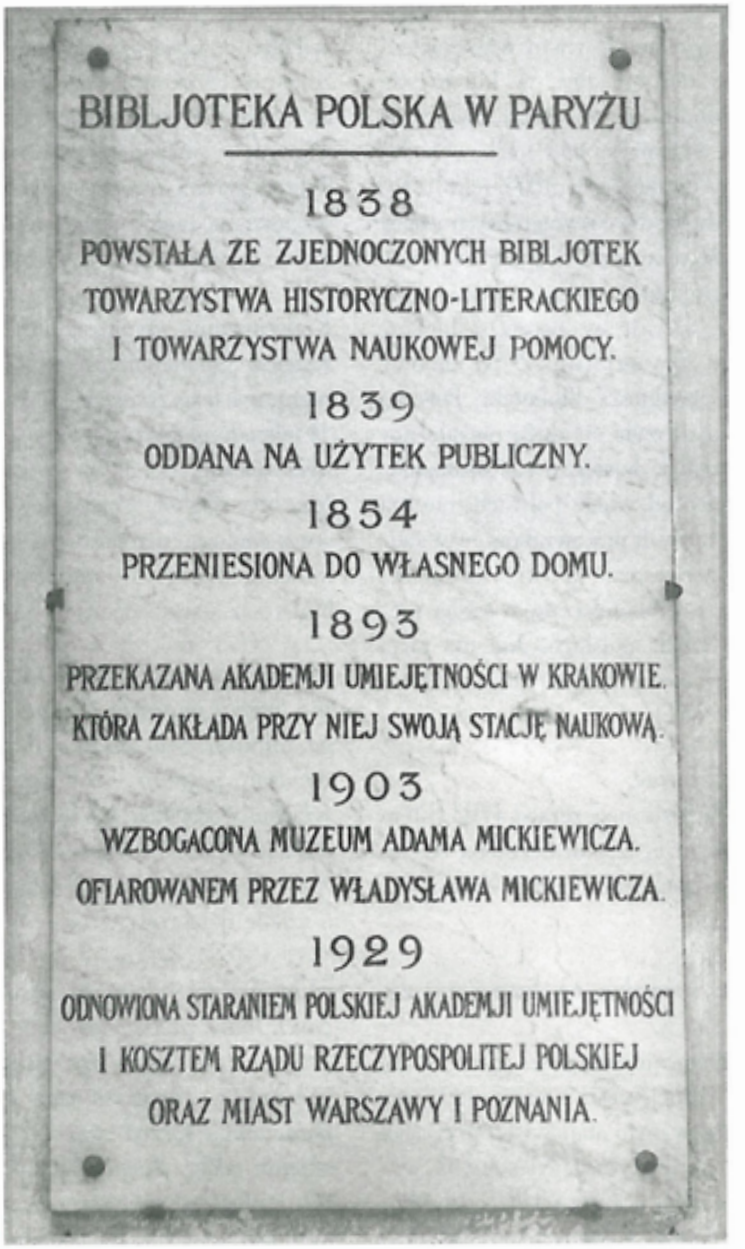

fot. A. Pawecka

Więc zdaniem Księdza najlepszym rozwiązaniem problemu własności byłoby powołanie nowej organizacji, której podlegałaby Biblioteka?

Niezupełnie – najlepszym rozwiązaniem jest albo utworzenie fundacji, albo uzyskanie przez THL statusu jedynego właściciela Biblioteki. Myślę, że z punktu widzenia prawa francuskiego sprawa jest do wygrania i Zarząd Biblioteki powinien iść, moim zdaniem, w tym kierunku.

Tylko przedtem musiałby, o ile wiem, uzyskać zgodę Polskiej Akademii Umiejętności, która ma dokumenty oddające PAU prawo własności Biblioteki.

Nie, nie – przecież właśnie sąd w 1959 roku wykluczył zarówno PAU, jak i THL jako właścicieli Biblioteki.

Ale ja myślałam o dokumentach z roku 1893, w 1959 PAU była już praktycznie przez ówczesne władze rozwiązana.

Zaraz, tutaj ważne są orzeczenia władz francuskich. W 1955 roku trybunał francuski stwierdził – a myślę, że to jest ważne: „Biblioteka Polska została założona w Paryżu w 1833 roku z pomocą darów zebranych przez Polaków na uchodźstwie i stanowiła dla swoich założycieli symbol życia polskiego na obcej ziemi" – i to Francuzi napisali w dokumencie! – „W 1854 roku nabyła ona osobowość moralną pod nazwą Towarzystwa Historyczno-Literackiego, które stało się w ten sposób prawnym właścicielem domu i zawartego w nim majątku."

Jeżeli zostanie uregulowana własność Biblioteki, powróci z pewnością zaufanie inwestorów i hojnych donatorów Biblioteki. Dlaczego więc obecna PAU miałaby mieć szczególne prawo do własności, jeżeli nie jest kontynuatorką krakowskiej Akademii z 1891 roku, rozwiązanej w 1951?

Polska Akademia Umiejętności została powołana w 1991 roku – czyli od 1946 nie wypełniała swoich obowiązków, przyjętych w roku 1893.

Patronka Paryża Św. Genowefa - w tle Biblioteka Polska *fot. A.Zawadzka*

Rozumiem, że w opinii Księdza Rektora Towarzystwo Historyczno-Literackie jest w innej sytuacji i pomimo orzeczenia sądu z 1959 roku może uzyskać prawo własności Biblioteki Polskiej bez ugody z PAU?

THL jest najemcą budynku, a we Francji ktoś, kto przez pięćdziesiąt lat płaci podatki, czynsz i wnosi wszystkie konieczne opłaty, może stać się właścicielem obiektu. Następna sprawa – PAU nie jest instytucją prywatną, ani też fundacją. Jest zależna od rządu polskiego statutowo i finansowo, jest powiązana statutowo z PAN, która nie może i nie myśli o zapewnieniu przyszłości finansowej Biblioteki. Moim zdaniem – można się z nim nie liczyć, ostatnio atakuje się rektora Misji, ale o tym nie będziemy mówić – Biblioteka powinna być niezależna od jakiegokolwiek rządu, by przyczyniała się do promieniowania kultury polskiej we Francji, i w Polsce, i na świecie, by była wspólnym dobrem całej emigracji. Tymczasem przyszłość Biblioteki jest niepokojąca. Analiza faktów wyraźnie na to wskazuje. Moim zdaniem rzeczywiste powody roszczeń nowej PAU, w sytuacji, kiedy jej przedstawiciele zapewniają, że Akademia nie ma możliwości materialnych ani zamiaru bezpośredniego zarządzania Biblioteką Polską w Paryżu, są niepokojące. Chciałbym wiedzieć, dlaczego od 1989 roku, czyli od demokratycznych przemian w Polsce, kiedy otworzyła się możliwość odzyskania przez emigrację własności Biblioteki Polskiej, jej Rada nie podjęła żadnych kroków w tym kierunku. Podobnie jak inne stowarzyszenia polskie, działające tutaj na prawach francuskich. Nikt nie próbował uregulować sytuacji prawnej i własnościowej – ani kombatanci, ani THL. Nic się nie działo – i nagle rozpoczęto gorączkowe działania, mimo że termin umowy dzierżawnej przedłużono do 2030 roku. To ja stawiam pytanie, o co w tym wszystkim chodzi.

A konieczność przeprowadzenia remontu budynku Biblioteki? – nikt

nie będzie inwestował dużych pieniędzy, nie wiedząc, w czyją własność w rzeczywistości inwestuje.
Ale to jest własność... skoro jest Towarzystwo, to jest własność polska, tylko na prawach francuskich.

Zaraz, zaraz – przecież ustaliliśmy, że Towarzystwo nie ma prawa własności, od 1959 roku na pewno.
Ale może je zdobyć.

Używając terminu z Polski – „przez zasiedzenie"? Uważa to Ksiądz Rektor za możliwe, skoro istnieje Polska Akademia Umiejętności i dokumenty, w których PAU występuje jako podmiot, któremu Bibliotekę na własność przekazano?
Właśnie to nie jest całkiem tak. Ja mam ekspertyzy, w których zanalizowano wszelkie warianty statusu prawnego Biblioteki Polskiej w Paryżu, w aspekcie prawnym, a nawet moralnym. Opracował je pan Henri Mazeau – wspaniały Francuz, który był zaangażowany w sprawy Biblioteki i który swego czasu ją bronił.

O co chodziło w roku 1959 wiem – ale przyznam, że nie rozumiem, czego właściwie dotyczy obrona Biblioteki obecnie.
To wcale nie jest zagmatwane – wystarczy poczytać trochę dokumentów, które wykazują, jak sytuacja ewoluowała od dawna, przeanalizować je. Bardzo ważna jest analiza sytuacji prawnej Biblioteki, którą dysponuję – wynika z niej, że Biblioteka powinna pozostać własnością emigracji. I gdyby Biblioteka nie była zamkniętym hermetycznie klubem, tylko kontaktowała się z emigracją, tak jak to od dawna proponowałem, gdyby otworzyła się na emigrację...

A jak Ksiądz sobie wyobraża otwarcie się na emigrację tej placówki?
Nawet nie chciano przyjmować na członków Biblioteki i Towarzystwa Historyczno-Literackiego tych, którzy mieli obywatelstwo polskie.

Wychodząc z założenia, że Biblioteka i Towarzystwo są emigracyjne, tak?
No, tak. A ja byłem za tym, żeby przyjmowano nowych członków z nowej emigracji.

Ale co by to miało dać?
Rozszerzenie zasięgu – przecież w tej chwili w Paryżu jest ogromna ilość ludzi, którzy przyjechali po latach osiemdziesiątych. To jest nowa emigracja.

No nie! – zadziwił mnie Ksiądz. Oboje wiemy, że to jest głównie emigracja zarobkowa, Ksiądz Rektor sam mi opowiadał o tych babciach z Rzeszowszczyzny, którym Misja pomagała w powrocie do domu – i mam wierzyć, że marzyły o czytaniu inkunabułów przy Quai d' Orleans?!
Ale część tej emigracji osiągnęła bardzo dobrą pozycję. Chodzi o to, że istnieje selekcja kandydatów do członkostwa Biblioteki i THL, którzy muszą mieć obywatelstwo francuskie. Przez lata obawiano się, że do Biblioteki wejdą komuniści.

Teraz zaś postrachem stała się PAU, spadkobierczyni praw...
... właśnie nie! – przypominam decyzję francuskiego sądu apelacyjnego, który uznał, że PAU – właścicielka Biblioteki przestała istnieć. To jest decyzja definitywna.

Podjęta w 1959 roku, kiedy rząd komunistyczny chciał przejąć Bibliotekę paryską na rzecz PAN, która nie była spadkobierczynią PAU, wchodząc jedynie w posiadanie majątku zabranego Akademii krakowskiej. Przecież PAU, zawieszona decyzją władz, nie zrezygnowała z Biblioteki, lecz pod przymusem przestała działać. Ksiądz nie uznaje reparacji wojennych i odszkodowań?
A PAU odzyskała swój majątek? Biblioteka była źle zarządzana. Uważam, że to jest najpoważniejszy problem. Nawet jeżeli przyjdzie pomoc z kraju, jeśli nie będzie fachowej kontroli, to nic z tego nie będzie. Przeanalizowałem projekt remontu Biblioteki, z którego wynika, że na jej podstawowe funkcje przeznacza się jedynie 41% powierzchni użytkowej budynku! Zmarnowany zostanie też ogromny wkład finansowy ostatnich dwóch dziesięcioleci, czego byłem świadkiem – zrobiono remont zabytkowej klatki schodowej i Muzeum Biegasa, archiwum i loży dozorcy. To wszystko zostanie zmarnowane przy generalnym remoncie, właściwie – powtarzane. Słuszniejszym by było stopniowe rehabilitowanie budynku, z zachowaniem tego, co już zostało zrobione. I ten remont ma kosztować 17 milionów!

A Ksiądz uważa, że można go przeprowadzić mniejszym kosztem?
Ja nic nie uważam, ponieważ mnie nie zaproszono do współpracy. Ale mam swoją opinię, i wiem, ile kosztuje metr kw. rehabilitacji budynku.

Zabytkowego? – ciekawam?
A, to już zatrzymam dla siebie, jak mnie poproszą o opinię...

Jak więc widzi Ksiądz przyszłość Biblioteki?
Konieczne jest nawiązanie dialogu ze wszystkimi siłami i ugrupowaniami emigracyjnymi i otworzenie Biblioteki na całą emigrację, a także zaangażowanie – czy się chce czy nie chce – Kościoła. Bardzo często proponowałem, będąc w Radzie Administracyjnej Biblioteki, że „Głos Katolicki" może drukować wszystkie komunikaty i propozycje, opisując aktywność Biblioteki – i nigdy nikt z tego nie skorzystał.

Niezupełnie rozumiem koncepcję otwarcia Biblioteki.
Koncepcja otwarcia jest prosta – jest tak wiele organizacji w Paryżu, które pozostają obok, nie są włączone w sprawy Biblioteki...

Nie rozumiem – THL wraz z Biblioteką tworzą odrębny, jak wszystkie inne, organizm – czyżby Ksiądz Rektor chciał też, by dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie zapisał na jej członków stowarzyszenia adwokatów, lekarzy i strażaków?

Chodzi mi o to, by ci, którzy chcą być członkami Towarzystwa Historyczno-Literackiego, mogli nimi zostać niezależnie od narodowości i obywatelstwa. THL powinno być otwarte dla całej Polonii, całej emigracji, nie tylko francuskiej. W Paryżu jest wiele osób, które sympatyzują z Biblioteką, a nie mogą w ogóle brać udziału w jej działalności, w jej ewentualnym rozkwicie. Nie mamy aktualnej listy członków THL, ale sądzę, że gdybyśmy zainteresowali Polonię na świecie – poczułaby się do odpowiedzialności finansowej. Trzeba by też zaapelować o spadki...

Ksiądz Rektor wychodzi z założenia, że sponsorowanie Biblioteki powinno się łączyć z członkostwem THL?

Uważam, że THL powinno być otwarte dla wszystkich, którzy chcą się angażować w sprawy Biblioteki. Tymczasem mnie najpierw wyrzucono z Rady Administracyjnej, a potem proponowano mi powrót. To nie jest urażona ambicja, tylko przykład, w jaki sposób się pracuje. Jeżeli ktoś trochę inaczej myśli – nie jest dobrze widziany, staje się „opozycją". Uważam, że Zarząd Biblioteki powinien się otworzyć, uczulić całą Polonię na jej problemy.

Stowarzyszenie Obrony, mam wrażenie, wywiązało się z tego zadania bardzo sprawnie. Ale czy rzeczywiście Ksiądz jest zdania, że instytucja tak szczególna jak Biblioteka, zasobna w zbiory wymagające fachowej pieczy, powinna zależeć od decyzji – czy raczej wyników głosowania – nowych członków THL, nie mających nic wspólnego z archiwistyką czy opieką nad dziełami sztuki?

Wszystko to można uściślić i zorganizować od nowa – tego potrzebuje każda instytucja, która istnieje wiele lat. Reorganizacja jest potrzebna. A także pomoc z Polski – jak najbardziej jestem za tym, by korzystać z pomocy archiwistów i bibliotekarzy z kraju.

A jednocześnie chce Ksiądz otworzyć THL dla całej Polonii, dla tych, z których wielu prawdopodobnie progu Biblioteki nie przekroczyło – chce Ksiądz, żeby walne zebrania nie miały końca?

Proszę Pani, to nie byłoby przeszkodą w pracy Zarządu Biblioteki. Zawsze wszystkich zachęcałem, by pomogli Bibliotece i sam również bardzo chętnie bym pomógł.

Dziękuję za rozmowę.

rozmawiała Agnieszka Panecka

Znajdują tu swoją Polskę

rozmowa z dr Iwoną H. Pugacewicz dyrektorem Szkoły Polskiej w Paryżu

Nasłuchałam się tylu słów zachwytu i widziałam tyle podziękowań uczestników kursów metodycznych, organizowanych przez Szkołę Polską, że przyszłam zapytać, jak to było i kto był ich inicjatorem?

To jest dłuższa historia. Dwa lata temu doszłam do wniosku, że w związku z rozwojem szkolnictwa polskiego we Francji – a przybyło nam kilka nowych punktów konsultacyjnych, trwają starania o powołanie dwóch nowych filii Szkoły Polskiej tudzież otwarto dwie Sekcje Polskie w Szkołach Międzynarodowych, pod Paryżem i w Strasburgu – konieczne jest zapewnienie nauczycielom podnoszenia kwalifikacji. Trzeba zdawać sobie sprawę, że na kursy metodyczne do Polski może wyjechać corocznie niewielka grupa.

Ilu nauczycieli polskich pracuje na terenie Francji we wszystkich rodzajach szkół?

Łatwiej powiedzieć, ilu zostało przeszkolonych. Najpierw zajęliśmy się kształceniem wewnątrz szkoły – a więc były to lekcje koleżeńskie, opracowanie programów pracy itd. Robiliśmy to na prostej zasadzie – jeśli ktoś miał znajomego czy zaprzyjaźnionego metodyka w Polsce, którego bez zbędnych

fot. A. Panecka

kosztów udało się sprowadzić do Paryża, robiliśmy kurs. Ale doszliśmy do wniosku, że długo tak się nie da, skierowaliśmy więc do „Wspólnoty Polskiej" prośbę o pomoc w zorganizowaniu kształcenia wszystkich nauczycieli pracujących we Francji. Chodziło mi o to, by nie wyróżniać Paryża, kiedy w całej Francji – w Aix en Provence, Lille, Grenoble, Lyonie, Orleanie – pracuje wielu nauczycieli, którzy nie mają możliwości uczestniczenia w kursach organizowanych w Polsce. Mamy tu nauczycieli o pełnym przygotowaniu pedagogicznym, którzy jednak z upływem czasu odczuwają potrzebę dokształcenia, jak i osoby, które podjęły tę pracę z potrzeby chwili, na przykład organizując i prowadząc szkółki sobotnie na prowincji, a nie miały pełnego przygotowania zawodowego. Dla nich też zorganizowaliśmy pierwszy kurs w grudniu 1999 roku, przy współpracy Dolnośląskiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli. Zaprosiliśmy do Paryża metodyków z Wrocławia, aby poprowadzili zajęcia z naszymi nauczycielami. Ku naszemu zdziwieniu na kurs zgłosiło się też kilka osób z zagranicy, m.in. ze Szwajcarii.

No i do tej pory wspominają ten kurs bardzo sympatycznie.
I to też dzięki „Wspólnocie Polskiej", bowiem spotkałyśmy się po raz pierwszy podczas Forum Oświaty Polonijnej, zorganizowanego przez Stowarzyszenie w Paryżu. To, że nawiązałyśmy kontakty przyjacielskie, jest dodatkowym, obok wartości merytorycznych, atutem zjazdów takich jak Forum – bardzo ważna jest integracja środowiska, nawiązanie kontaktów i więzi przyjacielskich, utrzymywanych później przez długi czas.

W naszym pierwszym kursie wzięło udział 38 nauczycieli z całej Francji. W Paryżu spotkali się po raz pierwszy, po raz pierwszy też ja usłyszałam o ich problemach. Nie zawsze przecież odnosi się sukcesy, ta praca wiąże się z kłopotami – od ilości uczniów poczynając, poprzez problemy metodyczne i konieczność dostosowania nauczania do wymogów MEN, po zagadnienia związane z nauczaniem języka polskiego dzieci, dla których jest on praktycznie językiem obcym.

Następne szkolenie było przeprowadzone przez Polonijne Centrum Nauczycieli w Lublinie, i do dziś jesteśmy wdzięczni dyr. Joannie Wójtowicz, która przysłała fantastycznych metodyków. To szkolenie odbyło się wiosną 2000 roku, przynosząc znakomite efekty. Uczestniczyło w nim 48 nauczycieli, w tym jedna pani ze Szwecji. Zanim zorganizowałyśmy ten kurs, dostałyśmy bardzo wiele listów, których autorzy wręcz domagali się kolejnego szkolenia, podkreślając, że obok podnoszenia kwalifikacji dzięki pracy z metodykami z Polski spotkania takie mają niezwykle dla nich istotny walor integracyjny.

Ponad granicami?
Oczywiście, nie jest to skala masowa – ale miło, że utrzymują się raz nawiązane kontakty, że przyjeżdżają do nas, że środowisko nauczycielskie się integruje.

W szkolnej bibliotece *fot. A. Panecka*

Czy w szkoleniach uczestniczą te same osoby?
Częściowo tak, ale w drugiej grupie było sporo nowych twarzy – na przykład z Aix en Provence na pierwszy kurs przyjechała jedna osoba, a w następnym uczestniczyło ich już kilka. Natomiast trzecie szkolenie było pomyślane trochę inaczej. Doszłam mianowicie do wniosku, że przyjazd do Paryża nie dla wszystkich jest dogodny, z różnych względów, w tym finansowych. Samo szkolenie jest bezpłatne, dzięki wsparciu „Wspólnoty", zaangażowaniu Konsulatu czy Instytutu Polskiego i innych sponsorów. Dużą pomocą było też udostępnienie tańszych noclegów w Ambasadzie – ale mimo wszystko dla wielu osób pobyt w Paryżu jest zbyt kosztowny. Postanowiliśmy więc zdecentralizować kursy, wyjechać z Paryża. Pierwsza część kursu, głównie dla Francji Północnej, odbyła się w Strasburgu i trwała nie-

cały tydzień. Nieco później nauczyciele z departamentów centralnych odbyli szkolenie w Paryżu, a dla południa kraju analogiczne spotkanie odbyło się w Aix en Provence. W sumie z kursów skorzystało 60 nauczycieli, co potwierdza trafność pomysłu. Było to może trudniejsze dla pani Małeckiej i jej koleżanki z lubelskiego Centrum, które były zmuszone podróżować z miasta do miasta, ale zdecydowanie pożyteczne dla naszej kadry. W lutym nasi zaprzyjaźnieni metodycy dotarli też do Lille, wykorzystaliśmy więc fakt pobytu wykładowców delegowanych przez panią Wójtowicz do krajów Beneluxu i zaprosić ich na drugą stronę granicy.

Jaki jest program takiego kursu?

Wykłady, ćwiczenia, zajęcia z metodykami, wreszcie warsztaty, podczas których nauczyciele poznają aktywne metody nauczania. Ku mojej radości efekty już pierwszego kursu były natychmiast zauważalne, także w mojej szkole. Zaczęliśmy posługiwać się nowymi metodami – a przyznam, że nie tylko moi koledzy i koleżanki uczestniczyli we wszystkich zajęciach, ale ja również. I wiele skorzystałam, zwłaszcza z pierwszego, przeznaczonego dla nauczycieli licealnych. Pozostałe kursy dotyczyły przede wszystkim metod pracy z młodszymi dziećmi. Efekty są widoczne nie tylko w codziennej pracy, ale nawet w wystroju szkół. Okazało się, że metody aktywne, czyli umożliwienie uczniom nieco innego uczestnictwa w lekcjach pozwalającego na spontaniczne tworzenie pomocy dydaktycznych – plakatów, plansz, map – dają świetne rezultaty.

Ale poza szkoleniami wewnętrznymi mamy też inny pomysł – chodzi o to, by Szkoła Polska w Paryżu i inne, jeśli będą zainteresowane, podjęły współpracę międzynarodową, by wykorzystać doświadczenia innych szkół działających za granicą. W ubiegłym roku przystąpiliśmy do programu Comenius 1, finansowanego przez Unię Europejską, w którego ramach nawiązujemy współpracę ze szkołami w Sztokholmie, na Malcie i w Rumunii...

Dlaczego w Rumunii?

W ramach rozszerzania programu. Mamy zamiar korzystać wzajemnie ze swych doświadczeń, a także stworzyć wspólny program doskonalenia nauczycieli. Nawet podczas wakacji szkolnych pracowaliśmy nad tymi projektami, w nadziei, że zostaną przyjęte już w tym roku.

Nadal niezupełnie rozumiem połączenie szkół państw unijnych i rumuńskich.

To ma sens, ponieważ szkoły, z którymi chcemy współpracować, są bardzo specyficzne, a ich sytuacja podobna jest do naszej. Są to szkoły, przeznaczone dla dzieci emigrantów lub, na przykład, dla dzieci Greków, powracających do kraju po wieloletniej emigracji. Mamy więc wspólne problemy, z którymi możemy sobie radzić w ramach naszego projektu. Poza tym, dzięki szkoleniom, które organizowałam w ciągu tych niespełna trzech lat we Francji, nasi nauczyciele bardzo się uaktywnili, a przy tym – nie sposób użyć innego określenia – „poczuli bluesa". Na wakacyjne kursy Polonijnego Centrum pojechało w tym roku do Polski ok. 20 pedagogów z Francji – a to swoisty rekord. I najlepszy dowód, że nastąpiło przełamanie barier, wyzwoliła się inwencja – sporo osób wyjechało do Lublina, chcąc się dalej kształcić, poloniści pojechali do Cieszyna i Krakowa – w Cieszynie brali udział w seminarium dotyczącym najnowszych programów i metod nauczania języka polskiego. Okazało się, że z tego pierwotnego pomysłu doszkolenia nauczycieli wynikło wielokierunkowe działanie na różnych poziomach.

Pomówmy o szkole, którą kieruje Pani od 1997 roku – Szkoła Polska w Paryżu jest szkołą działającą przy Ambasadzie RP, jest otwarta dla dzieci polonijnych. Zacznijmy od statystyki, czyli pytania: ilu uczniów, ilu nauczycieli, ile jest filii – jaka jest struktura Szkoły?

Ilość uczniów jest oczywiście zmienna – możemy przyjąć, że w roku szkolnym 2000/2001 w samym Paryżu mieliśmy 500 uczniów, na różnych poziomach nauczania – zespół szkół przy Ambasadzie to szkoła podstawowa, gimnazjum i liceum oraz szkoła przy parafii św. Genowefy. Mamy też filie i punkty konsultacyjne...

Pracujące w środy i soboty?

Nie, nie – w środy i soboty uczą się dzieci, które chodzą do szkół francuskich, w naszej szkole przerabiają program uzupełniający, ucząc się języka polskiego, historii i geografii Polski, a także matematyki, ze względu na różnice programowe. Natomiast dla tych dzieci, które z różnych przyczyn nie mogą uczęszczać do szkół francuskich, prowadzimy nauczanie w pełnym zakresie. W minionym roku szkolnym pełne nauczanie prowadziliśmy tylko dla licealistów, ponieważ takie było zapotrzebowanie, każdego roku jest nieco inaczej. Uczniowie ci mają zajęcia również we wtorki i czwartki, do tego w wybranym dniu, przeważnie w piątki, dochodzą zajęcia fakultatywne dla najstarszej klasy.

Jaki jest stosunek ilościowy dzieci polonijnych do dzieci pracowników delegowanych z Polski?

Nie prowadzę statystyki – ale oczywistym jest fakt, że większość stanowią dzieci przebywające w Paryżu czasowo. Specyfika Paryża polega na sporej liczbie Polaków przebywających tu „na czarno", których dzieci ponoszą siłą rzeczy konsekwencje nielegalnego pobytu.

I właśnie o to chodzi – czy Szkoła zna ilość potencjalnych uczniów?

Szkoła przyjmuje wszystkich chętnych – ale nie prowadzimy badań, ile polskich dzieci przebywa aktualnie w Paryżu. Oczywiście, wiemy, że są w mieście dzieci, które do Szkoły nie chodzą – ale jest to decyzja ich rodziców. Podobnie jak

decyzja tych, którzy, pełni entuzjazmu, zapisują dzieci do Szkoły Polskiej. Wydaje mi się, że rozwiązaniem tego problemu jest powoływanie filii Szkoły Polskiej na obrzeżach Paryża, takich jak działająca od dwóch lat nasza filia na północy, w Aulnay sous Bois. Życie ma swoje prawa – dla wielu rodziców dowożenie dzieci z krańców miasta lub suburbiów do Szkoły Polskiej w 17. dzielnicy, czyli w środku Paryża, jest po prostu niemożliwe z powodu odległości.

Szkoła paryska ma filie – ile ich jest w sumie na terenie Francji?

Pod Paryżem jedna, właśnie w Aulnay sous Bois, następna w Orleanie, kolejna w Lille przy Konsulacie Generalnym RP, którą kieruje pan Zdzisław Krupa. Mamy też punkty konsultacyjne – w Lyonie, pod kierownictwem pani Joanny Bonnard, której administracyjnie podlega też Grenoble, i w Strasburgu, gdzie działa pani Anna Cieplińska. O status filii Szkoły Polskiej ubiegają się też szkoły w Aix en Provence i szkoła przy parafii prowadzonej przez Polską Misję Katolicką w Dammarie les Lys, gdzie mieszka sporo Polaków.

Ilu nauczycieli i ilu uczniów mamy w tej strukturze?

W Szkole paryskiej pracuje 22 nauczycieli, w całej Francji – ok. 80. Natomiast dzieci jest trudniej policzyć, ponieważ co roku zmienia się ilość uczniów. Możemy przyjąć, że corocznie do Szkoły Polskiej i jej filii uczęszcza 800 – 900 uczniów.

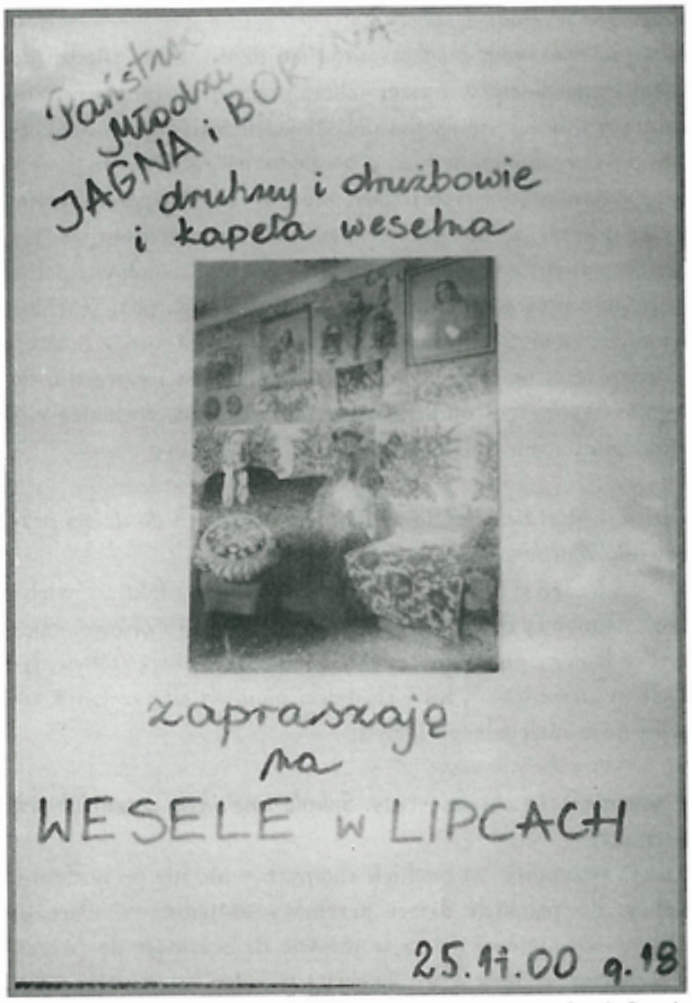

fot. A. Panecka

A przy tym istnieją w systemie szkolnictwa francuskiego już trzy Sekcje Polskie w Szkołach Międzynarodowych – w Lyonie, St. Germain en Laye i najmłodsza, w Strasburgu. Jakie są relacje pomiędzy nimi a Szkołą Polską?

Dzięki sekcjom język polski wszedł do szkolnictwa francuskiego. W każdej z sekcji polscy nauczyciele uczą języka i historii Polski wraz z elementami geografii dzieci i młodzież, które są uczniami szkoły francuskiej, a w Sekcji uzupełniają jej program. W perspektywie wejścia Polski do Unii Europejskiej inicjatywa Polonii w Lyonie, która jako pierwsza doprowadziła do utworzenia Sekcji Polskiej w tamtejszej CSI, jest nie do przecenienia. Sekcje są idealnym rozwiązaniem, jeśli chodzi o dzieci polonijne – dla nas zaś konkurencją nie są, ponieważ do naszej Szkoły uczęszczają dzieci powracające na ogół do Polski. Co do relacji – kierując Szkołą Polską sprawuję też nadzór pedagogiczny nad Sekcjami Polskimi w szkołach francuskich.

A czy są różnice programowe?

Szkoła Polska w większym stopniu realizuje program MEN, natomiast w Sekcjach Szkół Międzynarodowych nauczanie zwłaszcza historii i geografii musi być korelowane z programem francuskim, co przeważnie nie jest łatwe. I w tym cały kłopot – z jednej strony konieczność dostosowania się do programu szkoły francuskiej, a z drugiej wymogi polskiego ministerstwa edukacji, które oczekuje zgodności z programami edukacyjnymi realizowanymi w szkołach polskich.

Szkoła Polska od paru lat uczestniczy w programie szkół patronackich, zaproponowanym przez nasze Stowarzyszenie.

Byłam zdania, że to znakomity projekt, co sprawdziło się w realizacji. Zaangażowaliśmy się weń bardzo, przy dużym udziale Polonii. Nasza szkoła nawiązała kontakt ze szkołą polską na Litwie, mającą tego samego co my patrona – Adama Mickiewicza. Grupa naszych uczniów była w Wilnie w 1999 roku, a w roku ubiegłym wilnianie złożyli nam rewizytę. Była bardzo sympatyczna.

Czyli jak się to odbywało?

Przyjechali autokarem – grupa 10 licealistów, którzy nawiązali kontakty koleżeńskie z naszymi uczniami podczas ich pobytu w Wilnie i opiekunka, pani Ludmiła. Mieszkali przy rue Lamande, czyli za ścianą szkoły, co było nad wyraz dogodne, gdyż dzięki temu dzieci przez cały właściwie czas były razem. Nasi goście uczestniczyli w naszym rozpoczęciu roku szkolnego, wspólnie zwiedzali Paryż, śpiewali. Dla naszych dzieci, które mieszkając we Francji mają trochę inną mentalność niż Polacy mieszkający na Wschodzie, było to również bardzo wzbogacające. Dzieci

same, spontanicznie, organizowały spotkania, podczas których poezja przeplatała się ze śpiewem. Oczywiście, walory poznawcze takich spotkań są nie do przecenienia – ale równie ważne są więzy przyjaźni i zrozumienia, które połączyły uczniów obu szkół.

O ile wiem, w szkole paryskiej odbywa się mnóstwo imprez pozalekcyjnych, to chyba dobre określenie? – był bal kostiumowy z okazji premiery „Pana Tadeusza"...

Tak, rzeczywiście nasi uczniowie celują w tego typu aktywności. Premierę „Pana Tadeusza" obchodziliśmy szczególnie uroczyście – był bal kostiumowy, przedstawienie na motywach jednej z ksiąg, przygotowane dla uczniów przez nauczycieli i rodziców, konkurs na najlepszy strój romantyczny, a na zakończenie – romantyczna biesiada z litewskim bigosem z kuchni Pana Ambasadora. Poza spotkaniami dyktowanymi tradycją i obchodami świąt narodowych organizujemy dla naszych uczniów wycieczki historyczne, np. na cmentarz Pere Lachaise czy zwiedzanie Biblioteki Polskiej, spotkania z artystami z Polski goszczącymi w Paryżu, koncerty, wystawy. Wizyta szkolna w Comedie Francaise połączona była ze spotkaniem z Andrzejem Sewerynem, obchody Roku Juliusza Słowackiego zakończyła wystawa ilustracji do jego poezji, przygotowana przez młodszych uczniów. Jedną z ostatnich większych imprez, nawiązujących do wielkiej literatury, było „Wesele w Lipcach", zainscenizowane przez uczniów z okazji Roku Reymontowskiego. Występował zespół folklorystyczny, rozstrzygnięto kilka konkursów – na najpiękniejsze korale Jagny między innymi.

Preferujecie Państwo naukę poprzez zabawę, jak rozumiem?

Raczej – uzupełniamy naukę rozrywkami dydaktycznymi. A także pomagamy, jeśli jest taka potrzeba. Na przykład dla biednych opuszczonych dzieci w Wilnie, pozostających pod opieką tamtejszego Stowarzyszenia Św. Zyty, nasi uczniowie zebrali 283 kg różnych darów.

Czyli Szkoła Polska nie tylko uczy, ale i wychowuje?

To jedno z zadań szkoły. Staramy się, aby nasi uczniowie, w większości przeciążeni nauką, zdobywali też wiedzę przy zabawie, aby szkoła nie kojarzyła się tylko z obowiązkiem. Najwięcej kłopotów mamy ze sprowadzaniem wystaw, które chcielibyśmy pokazać naszym uczniom. Choć i na tym polu mamy osiągnięcia – w Szkole Polskiej była i wystawa Reymontowską, i „Kraków 2000", i „Zamki polskie", które były wspaniałą ilustracją lekcji.

Część uczniów Szkoły Polskiej chodzi też do szkół francuskich. Jak sobie Państwo radzicie z różnicami programowymi?

Dobre pytanie – nasz system szkolny zbliżył się do francuskiego po reformie szkolnictwa, ale dotyczy to przede wszystkim struktur, różnice programowe są spore. I, między innymi, nasz cykl szkoleń, o którym mówiłyśmy na początku, służył skorelowaniu obu tych systemów. Generalnie chodzi o to, by Szkoła Polska uzupełniała program szkoły francuskiej. Moim zdaniem bardzo istotne jest to, że w Szkole Polskiej wprowadziliśmy metody aktywne, że nasze dzieci w pełni uczestniczą w lekcjach, nie są biernymi słuchaczami wykładu. Wszystkie wystawy, koncerty, imprezy organizowane w szkole mają też na celu podniesienie jej atrakcyjności w środowisku polonijnym – my nie możemy konkurować ze szkołami francuskimi, ale możemy być – i jesteśmy – atrakcyjni, przyciągamy Polaków. Wokół Szkoły tworzy się pewne środowisko, rodzice chcą, aby ich dzieci uczyły się w Szkole Polskiej. Polscy uczniowie szkół francuskich nie chcieliby chodzić do naszej szkoły, gdyby nauka w niej była nudna, a wiedza źle podana, to przecież oczywiste. Najlepszym przykładem są licealiści, którzy mimo obciążenia nauką w dobrych szkołach francuskich nie rezygnują z naszej – bo tu uczą się czegoś innego, bo tu tyle się dzieje poza lekcjami... A może znajdują tu swój azyl, swoją Polskę?

Dziękuję za rozmowę.

rozmawiała Agnieszka Panecka

KOMUNIKAT P.O.W.N.

20 września 2001 roku w Lens (Północna Francja)
będzie uroczyście obchodzone 60-lecie utworzenia P. O. W. N.
przez ówczesnego Konsula Generalnego RP w Lille pana Aleksandra Kawałkowskiego.

Organizatorzy obchodów proszą o kontakt wszystkich Rodaków,
którzy przebywali na terenie Francji w 1944 roku.

Na wiadomości czeka prezes Helena Backiel – Jędrzejewska
w Residence du Buisson E. 4. G., 59800 Lille, tel. 00 333 20 55 22 51.

Święto kultury polskiej w Kazachstanie

W dniach 20-22 kwietnia br. w Kokczetawie i Szczucińsku przy słonecznej pogodzie – choć długa i mroźna kazachstańska zima ustąpiła dopiero tydzień wcześniej – odbyło się zakończenie Miesiąca Kultury Polskiej w dawnym obwodzie kokczetawskim (obecnie po reformie administracyjnej Kokczetaw jest stolicą obwodu akmolińskiego). Z okazji święta kultury polskiej odbyło się wiele imprez.

W bibliotece obwodowej została otwarta wystawa polskich książek. Dużą część ekspozycji stanowiły książki przekazane przed kilku laty przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie". Zaprezentowane były także egzemplarze z bibliotek prywatnych, a wśród nich znalazły się pozycje, które miejscowi Polacy zabrali ze sobą w trakcie deportacji w roku 1936. Druga wystawa odbyła się w muzeum obwodowym i miała na celu zilustrowanie losów Polaków w Kokczetawie. Większość eksponatów pochodziła ze zbiorów byłej prezes (obecnie wiceprezes) Związku Polaków w Kazachstanie, p. Antoniny Kasonicz. Podobnie jak i w przypadku książek, znalazły się tam sprzęty, używane jeszcze przez Polaków na Ukrainie. Część zgromadzonych materiałów, po zakończeniu wystawy, zasili zbiory muzeum.

Z innych imprez towarzyszących należy wymienić prezentację rysunków dzieci, uczących się języka polskiego. Mali artyści zgromadzili na wystawę ilustracje do przeczytanych przez nich polskich bajek i baśni oraz lektur szkolnych. Dużą grupę prac stanowiły obrazki – wspomnienia z wakacji w Polsce. Wiele rysunków ukazywało malowniczą „Szwajcarię kazachską" – wzgórza usytuowane ok. 60 km od Kokczetawu i przypominające polskie Góry Stołowe, a także jeziora z okolic Borowego. Zorganizowano także prezentację potraw kuchni polskiej – co prawda kurczak zastępował tradycyjny kotlet schabowy, ale inne dania odpowiadały swoim nazwom.

Zwieńczeniem uroczystości był galowy koncert zespołu folklorystycznego „Stepowe kwiaty", który w bieżącym roku obchodzi jubileusz dziesięciolecia. Został utworzony przez grupę entuzjastów – członków, istniejącego od 1989 roku, Stowarzyszenia „Polonia Północna". Od początku kierownikiem zespołu jest Antonina Kasonicz. Wielkie zasługi dla grupy mają akordeonista Anatol Kazimirski, dyrygent Halina Bagińska i choreograf Maryna Iwachnienko. W czterdziestoosobowym zespole śpiewają trzypokoleniowe rodziny oraz studenci polonistyki kokczetawskiego Uniwersytetu Pedagogicznego. W pracach zespołu zawsze uczestniczyli nauczyciele języka polskiego, delegowani do Kazachstanu przez CODN. „Stepowe Kwiaty" tańczą w strojach podarowanych przez nieżyjącego już prezesa Towarzystwa Więzi i Pomocy Polakom na Wschodzie, Jana Plater-Gajewskiego. Zespół korzysta z pomocy władz miasta oraz instytucji polskich, takich jak: Ambasada RP w Ałmaty, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska", Polska Akcja Humanitarna i indywidualnych sponsorów. Z okazji dziesięciolecia „Stepowych Kwiatów" wydany został specjalny numer Biuletynu Informacyjnego Związku Polaków w Kazachstanie.

Na święto kultury polskiej licznie przybyli goście: kierownik wydziału konsularnego Ambasady RP w Ałmaty Tomasz M. Leoniuk, przedstawiciele władz obwodowych i miejskich, prezes stowarzyszenia polskiego w Kustanaju – Romualda Gicewicz oraz księża, nauczyciele języka polskiego oraz prezesi i działacze polonijni z okolic Kokczetawu. Miłą niespodziankę sprawił p. Leon Malinowski, nauczyciel, który przez kilka lat pracował w Kokczetaw, a obecnie uczy polskiego w oddalonej o 400 km Kamyszence.

Ze sceny zabrzmiały – znane każdemu Polakowi – pieśni patriotyczne, ludowe oraz biesiadne. Jak w kalejdoskopie migały spódnice i wstążki tancerek oraz kubraki i pawie pióra tancerzy, ogniście wykonujących mazury i oberki. Towarzysko na koncercie wystąpili artyści z tanecznego zespołu rosyjskiego, kazachski śpiewak operowy oraz kazachska piosenkarka estradowa, która przy akompaniamencie bijącej brawo publiczności wykonała po polsku „Kolorowe jarmarki". Piosenka w dwujęzycznym wykonaniu Walerego Leontiewa cieszy się niezwykłą popularnością w krajach powstałych po rozpadzie ZSRR – nie ma tygodnia, by nie można jej było usłyszeć w radiowym koncercie życzeń.

Podobny koncert zespołu odbył się następnego dnia w szczucińskim Domu Kultury. Organizacją święta w Szczucińsku zajęli się Witold Wierzbicki i Walery Bielecki – dwaj najaktywniejsi działacze Polskiego Społecznego Funduszu „Rodaki" (w takim brzmieniu słowa „rodacy" został on oficjalnie zarejestrowany). „Stepowe Kwiaty" śpiewały pięknie własnym głosem – bez mikrofonów. W programie wystąpił także ich rówieśnik – siedmioosobowy zespół kazachski „Koksze", który oprócz utworów kazachskich w brawurowy sposób wykonał po kazachsku piosenkę „Szła dzieweczka do laseczka". Wydaje się, że można by zorganizować konkurs na najlepsze wykonanie tego utworu, ponieważ wiele zespołów kazachskich ma go w swym repertuarze, a „Stepowe Kwiaty" wykonują go w dwóch językach.

Szkolnictwo polskie na Litwie - stan posiadania, problemy, perspektywy

Szkolnictwo polskie na Litwie posiada głębokie tradycje historyczne. Już w XVI wieku wydawano książki w języku polskim, a w kolegiach i na Uniwersytecie Wileńskim wykładano nie tylko po łacinie, ale i po polsku. Jednak do końca XVIII wieku nauka była przede wszystkim domeną uprzywilejowanych warstw społecznych – szlachty i duchowieństwa. Dopiero powołanie 14 października 1773 roku Komisji Edukacji Narodowej i wprowadzenie pierwszej reformy oświatowej przyniosło wielkie przemiany w dziedzinie oświaty ludu. Od tego czasu stale wzrasta i rozwija się sieć szkół na Litwie, w tym szkół z polskim językiem nauczania. Wraz z przemianami historycznymi nauczanie w języku polskim odpowiednio przechodzi okresy rozkwitu bądź upadku. Po trzecim rozbiorze Polski, gdy zaprzestano wydawania książek i nauczania w języku polskim oraz zamknięto Uniwersytet Wileński, dążenia do nauki w języku ojczystym pozostawały wciąż żywe, a nauczanie odbywało się tajnie. Na przełomie XIX i XX wieku z nową siłą wzrastają idee wolnościowe i narodowe.

W okresie od września do listopada 1915 roku w okupowanym kraju wileńskim zaczęto zakładać szkoły z polskim językiem nauczania. W tym samym okresie w Wilnie założono Komitet Edukacyjny, będący nadrzędnym organem jednoczącym polskie organizacje i stowarzyszenia patronujące oświacie. Powstanie Komitetu znacznie ożywiło i połączyło dążenia do zakładania polskich szkół i ognisk oświatowych. W tym czasie w Wilnie działały: 4 szkoły średnie i 30 początkowych. Poza tym 1 stycznia 1916 roku Komitet Edukacyjny zarejestrował 121 szkół na prowincji – w powiatach: wileńskim – 44, trockim – 32, lidzkim – 17, święciańskim – 9. Naukę w szkołach średnich i początkowych pobierało ogółem 6 375 uczniów. Rozpoczęto również wydawanie podręczników dla szkół polskich w języku ojczystym.

W okresie okupacji hitlerowskiej (1941-1944) szkolnictwo polskie zostało całkowicie zlikwidowane. Część młodzieży polskiej naukę pobierała na tajnych kompletach. Po wojnie ludność polska włączyła się więc aktywnie do działań na rzecz odrodzenia tradycyjnej szkoły polskiej na Litwie. W roku szkolnym 1947/48 działało 225 szkół, w których naukę pobierało 25 457 uczniów. W okresie pierwszego dziesięciolecia po wojnie, do roku szkolnego 1953/54, naukę w języku polskim pobierało 27 tysięcy dzieci, co stanowi 7 % ogółu uczniów Litwy.

Pierwsza i druga repatriacja Polaków do Polski, przymusowa kolektywizacja, masowa deportacja Polaków na Sybir, a z drugiej strony napływ na Litwę różnego rodzaju urzędników, kierowników zakładów, gospodarstw i specjalistów – przedstawicieli władzy „sowieckiej" i „partyjnej" z głębi Rosji – zadecydowało o tym, że język rosyjski stał się podstawowym narzędziem obcowania między ludnością miejscową a „naczalstwem". Ponadto wcielanie w życie teorii „zlania się narodów w jeden naród radziecki" i preferowanie języka rosyjskiego jako państwowego prowadziło nieuchronnie do ciągłego zmniejszania się ilości szkół i uczących się w nich dzieci. Po dwudziestu latach – w roku szkolnym 1974/75 liczba uczniów zmniejszyła się o 10 tysięcy i wynosiła 17 614, czyli zaledwie 3,24 % ogółu.

Nauczanie prowadzone z podręczników tłumaczonych z języka rosyjskiego, całkowicie dostosowanych do wychowania wielkomocarstwowych uczuć, ciągły brak szerszych kontaktów naukowych, gospodarczych, handlowych i kulturalnych z Macierzą – faktycznie pogłębiły proces wynarodowienia i doprowadziły do zaniku poczucia perspektywy nauczania w języku polskim. Wciąż nasilający się proces rusyfikacji doprowadził do tego, że w roku szkolnym 1988/89 spadek osiągnął najwyższy pułap – naukę w języku ojczystym pobierało zaledwie 9 995 uczniów, co stanowiło 1,95 % ogółu uczniów republiki, przy 7 % ludności polskiej mieszkającej na Litwie.

Z hasłem „pierestrojki" nastąpił burzliwy okres odrodzenia narodowego, który szerokim kręgiem objął wszystkie sfery społeczne na Litwie. Wzmocnił procesy samostanowienia, poczucia tożsamości i godności narodowej Polaków na Litwie, dodając im otuchy i inspirując w walce o samodzielność i odrodzenie polskości, które najszybciej znalazły wydźwięk w sprawach oświatowych. Proces ten najlepiej obrazuje tabela 1, przedstawiająca ogólną liczbę uczniów klas 1-12 i procentowy wskaźnik w stosunku do ogółu uczniów na Litwie.

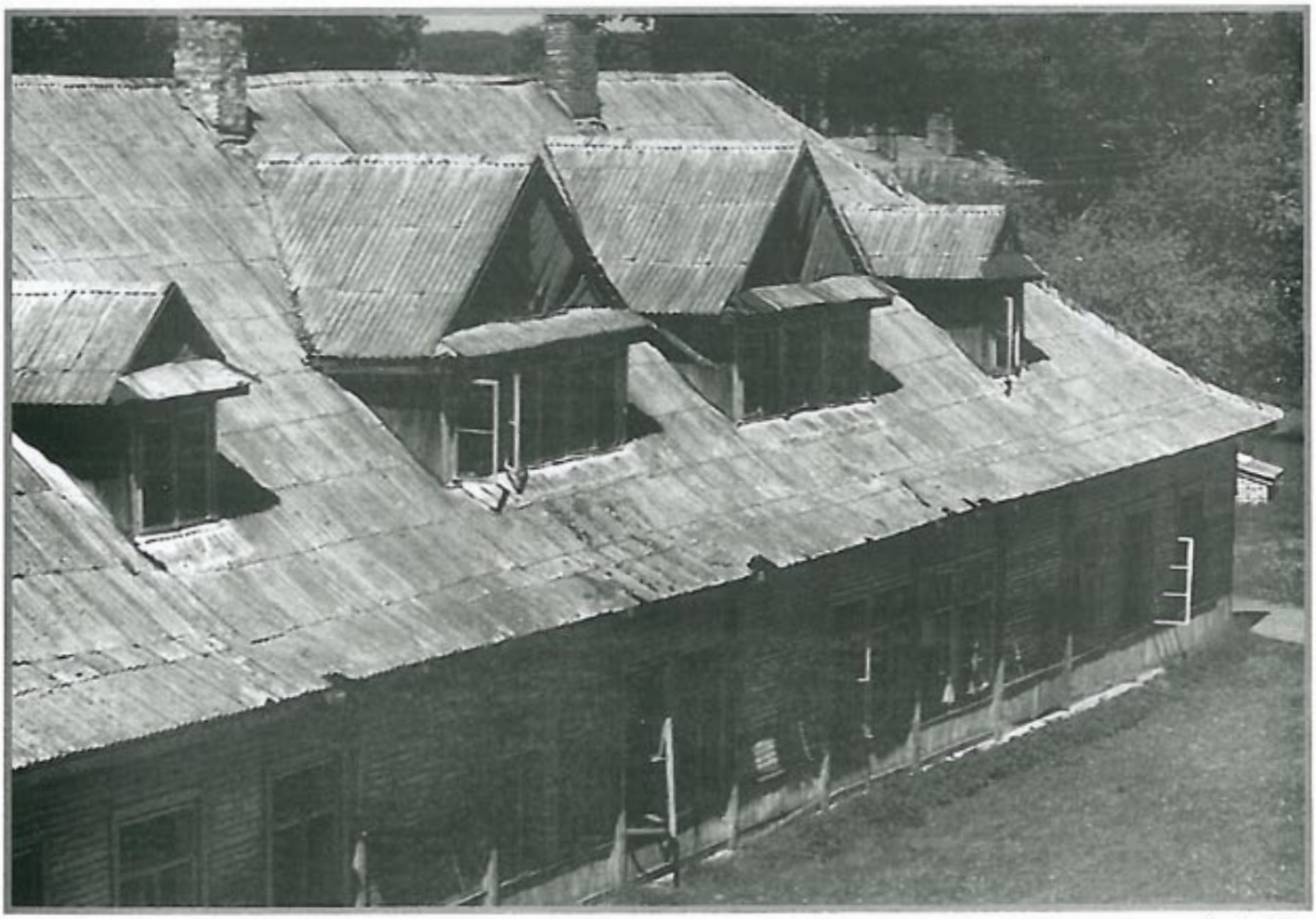

Dziewianiszki - szkoła z czasów Marszałka Piłsudskiego, obecnie nieczynna *fot. A. Bekisz*

Tabela 1.

Rok	Liczba uczniów	Wskaźnik % do ogółu uczniów
1988	9 995	1,95
1989	10 613	2,1
1990	11 407	2,3
1991	12 611	2,5
1992	13 881	2,8
1993	15 312	3,08
1994	16 613	3,26
1995	17 898	3,44
1996	19 212	3,61
1997	20 263	3,72
1998	21 038	3,77
1999	21 913	3,83
2000	22 303	3,83

Tabela 2.

Rok	Liczba uczniów	Wskaźnik % do ogółu uczniów
1988	1 030	2,16
1989	1 624	3,16
1990	1 831	3,42
1991	2 050	3,72
1992	2 256	3,48
1993	2 412	4,23
1994	2 331	4,06
1995	2 158	3,91
1996	2 213	4,07
1997	2 077	3,72
1998	1 876	3,45
1999	1 600	3,21
2000	1 721	3,34

W roku 1989 powstają polskie przedszkolne placówki oświatowe (żłobki-przedszkola bądź grupy z polskim językiem nauczania). W 2000 roku w 50 tego typu ośrodkach działały grupy z polskim językiem nauczania, do których uczęszczało 2 020 dzieci, co stanowi 2,1 % ogółu wychowanków placówek przedszkolnych Litwy. Ważnym czynnikiem, rzutującym na odrodzenie szkolnictwa polskiego, jest dynamiczny wzrost zapisów dzieci do klas pierwszych, których liczba w latach 1989-1993 wzrosła ponad dwa razy. Dynamikę liczebności uczniów w klasach pierwszych i ich procentowy udział w ogólnej liczbie uczniów klas pierwszych na Litwie ilustruje tabela 2.

Obecnie na Litwie działa 121 szkół ogólnokształcących dziennych z polskim językiem nauczania, z których: 43 to szkoły średnie (1-12 klasa), 44 – podstawowe (1-10 klasa) i 34 - początkowe (1-4 klasa). Naukę pobiera w nich 22 303 dzieci, co stanowi 3,8 % ogółu wszystkich uczniów. W szkołach z polskim językiem nauczania wszystkie przedmioty z wyjątkiem języka litewskiego i literatury są nauczane po polsku. Na życzenie rodziców oraz dzieci w języku państwowym mogą być nauczane również inne przedmioty.

Dużym problemem jest stan budynków szkolnych. Obiekty, w których mieści się ponad połowa szkół polskich, były wzniesione jeszcze w latach siedemdziesiątych, dlatego więk-

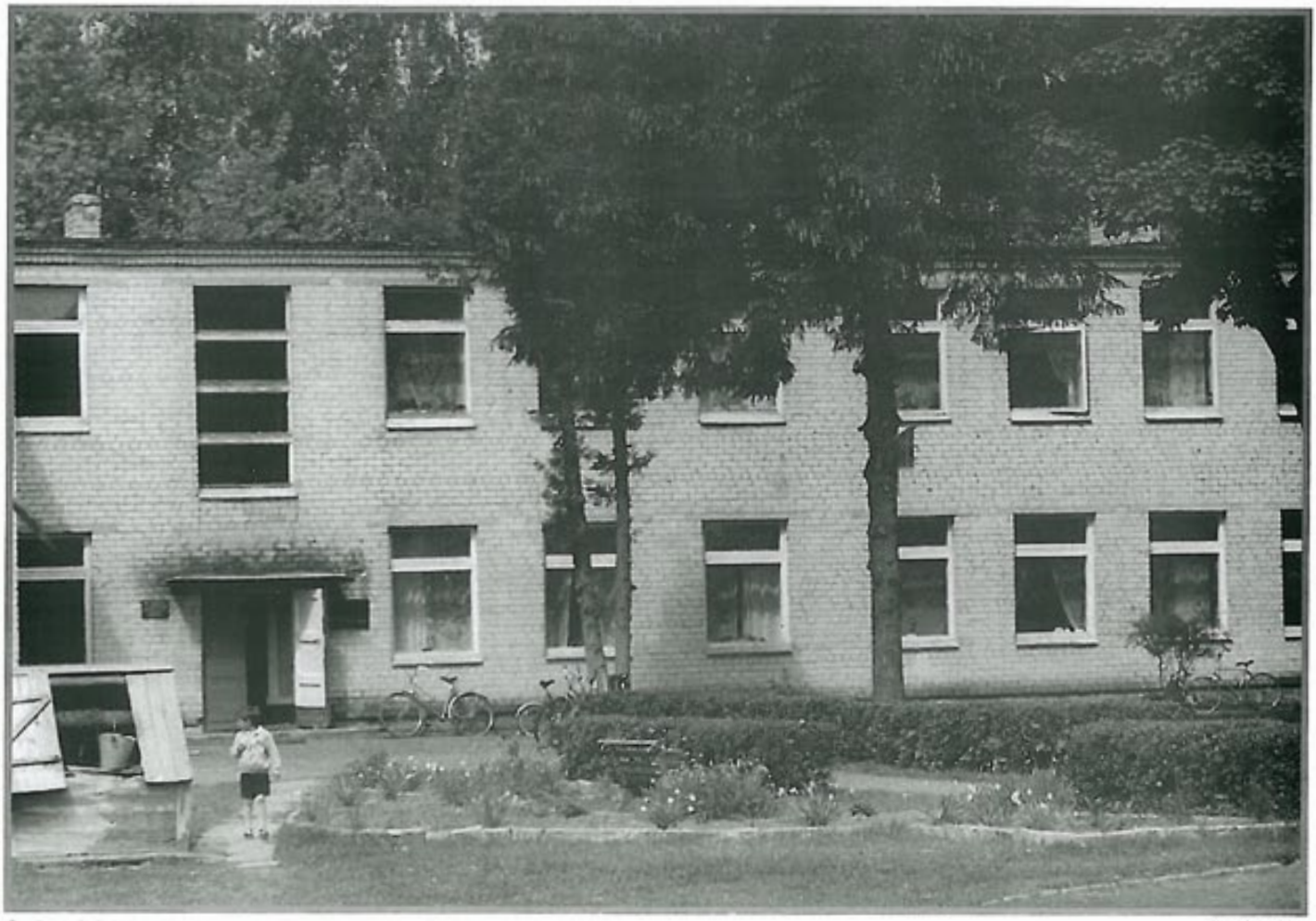

Szonki - szkoła podstawowa *fot. A. Bekisz*

Bujwidze - szkoła podstawowa *fot. A. Bekisz*

szość z nich potrzebuje pilnych i gruntownych remontów, np.: dachu, sanitariatów, sali sportowej, auli czy stołówki. W tym 85 % szkół podstawowych i początkowych nie posiada sali sportowej, natomiast aż 91 % szkół podstawowych, początkowych oraz 20 % szkół średnich nie posiada auli; 60 % szkół podstawowych i początkowych oraz 10 % szkół średnich nie posiada kanalizacji. Żadna z polskich szkół nie posiada basenu. Około połowa szkół nie posiada w pełni wyposażonych pracowni komputerowych i ponad połowa – kserokopiarek.

Kadra pedagogiczna szkół polskich na Litwie to ponad 2 tys. nauczycieli, z których 96 % legitymuje się wykształceniem wyższym. Wszyscy złożyli egzaminy kwalifikacyjne z języka państwowego na kategorię II i III, większość pomyślnie przeszła atestację zawodową i uzyskała miano nauczyciela, metodyka bądź eksperta. Taki stan wykształcenia kadry pedagogicznej wpływa znacznie na poziom nauczania w szkole polskiej. Najlepszą wykładnią poziomu nauczania jest rosnące z roku na rok dążenie abiturientów ze szkół polskich do uzyskania wykształcenia średniego i wyższego oraz przyuczenia do zawodu. Absolwenci szkół polskich pomyślnie zdają na studia i kontynuują naukę w uczelniach wyższych zarówno na Litwie, jak i poza jej granicami. Procentowe wskaźniki wstępowania na studia wyższe i pomaturalne abiturientów szkół polskich na Litwie ilustruje tabela 3.

Wskaźnik wstępowania na wyższe studia oscyluje w granicach 40-45 % i dorównuje średniej republikańskiej, będąc jednocześnie wyższym od takiego wskaźnika w poszczególnych rejonach kraju. Wskaźnik wstępowania do szkół pomaturalnych stanowi 32-42 %. Możemy więc stwierdzić, że co roku od 75 do 87 % abiturientów szkół polskich kontynuuje naukę.

Tabela 3.

Rok	Szkoły wyższe	Szkoły pomaturalne
1994	32,2	24,0
1995	41,4	36,9
1996	40,7	38,0
1997	43,6	32,6
1998	43,1	40,6
1999	45,3	42,0

Wiele szkół z polskim językiem nauczania już dzisiaj pod względem tych wskaźników dorównuje wymogom stawianym gimnazjum, gdzie 70-75 % abiturientów powinno się dostać na studia wyższe.

W obecnym okresie na Litwie wdrażana jest reforma szkolnictwa, zakładająca humanizację szkoły i zmianę treści nauczania. Reforma przewiduje:

- wprowadzenie nauczania zintegrowanego;
- przygotowanie i używanie podręczników oraz programów zintegrowanych;
- zmianę struktury szkoły przez przechodzenie od szkół podstawowych 9-letnich do 10-latek;
- wprowadzenie nauczania profilowanego w klasach 11-12 od 2000 roku poczynając oraz późniejsze przekształcanie ich w latach 2005-2009 w gimnazja (pod warunkiem sprostania bardzo wysokim wymogom);
- dokonanie optymizacji sieci szkół – likwidowanie szkół małych i zorganizowanie dowozu dzieci.

Reforma pociąga za sobą konieczność ogromnych środków finansowych, co w znacznym stopniu utrudnia funkcjonowanie szkoły, w szczególności szkół mniejszości narodowych, które już w założeniu powoływane są przy mniejszej ilości uczniów oraz ich liczebności w klasach.

Kolejnym trudnym problemem dla szkoły polskiej na Litwie stało się tłumaczenie i wydawanie podręczników w języku ojczystym. Nowe podręczniki zintegrowane, zgodnie z wymogami szkoły zreformowanej, są przygotowane przez naukowców i praktyków dla szkół z litewskim językiem nauczania. Natomiast szkoły polskie są nadal zmuszone do używania podręczników z przestarzałymi treściami nauczania (sprzed 5-10 lat), nie odpowiadającymi wymogom prowadzonej reformy – których nota bene również dotkliwie brakuje.

Ministerstwo Oświaty i Nauki Litwy, poczynając od 1995 roku, zmniejsza ilość tłumaczonych i wydawanych w języku ojczystym podręczników dla szkół polskich. Statystyka wydawnicza podręczników wygląda następująco: w 1998 roku wydano 6 tytułów dla klas 2-9; w 1999 – 3 tytuły dla klas 6-7; w 2000 – 2 tytuły dla klas 7-8. Jedynie kwestia podręczników do nauki języka polskiego i literatury jest całkowicie rozwiązana, gdyż zostały one wydane dla klas 1-12.

Należy stwierdzić, że ilość wydawanych podręczników maleje, natomiast zapotrzebowanie wzrasta. Dlatego w trybie pilnym należałoby wydać przynajmniej 18 tytułów. W ogóle nie są tłumaczone podręczniki dla klas 11-12. Cena podręczników w języku ojczystym jest dwu-trzykrotnie wyższa niż drukowanych w języku litewskim, zaś tej różnicy w cenie nikt uczniom nie refunduje. Dążąc do rozwiązania powstałego problemu, Stowarzyszenie Nauczycieli Szkół Polskich na Litwie „Macierz Szkolna" w roku 2000 powołała Dobroczynny Fundusz Wspierania Zaopatrzenia w Podręczniki w Języku Polskim. Dzięki staraniom Funduszu doszło do przygotowania tłumaczeń dwóch podręczników do historii dla klas 7 i 8, które dzięki całkowitemu sfinansowaniu przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" zostaną wydane jeszcze w roku bieżącym.

Nadal ważnym problemem pozostaje wyposażenie pracowni komputerowych i przedmiotowych: chemii, fizyki i biologii. Posiadanie i dobre wyposażenie pracowni jest warunkiem podstawowym do uzyskania statusu gimnazjum, a szkoły polskie mają w tym zakresie spore trudności.

Ponadto podwójna przynależność szkół jest poważnym utrudnieniem ich funkcjonowania. Szkoły polskie, rosyjskie i znikoma ilość litewskich w rejonach solecznickim i wileńskim pozostają w gestii samorządów, natomiast szkoły litewskie – nowo powołane w tych rejonach w ostatnich 4 latach – należą do powiatu i są przez powiat finansowane. To zróżnicowanie w systemie zarządzania daje się odczuć szczególnie dotkliwie w trakcie przeprowadzanej reformy, a w szczególności przy wprowadzaniu „optymizacji" sieci szkół. W sytuacji, gdy samorządy będą zmuszone z uwagi na brak środków finansowych zamykać w osiedlach wiejskich małe szkoły polskie, równolegle zostaną powołane szkoły powiatowe z litewskim językiem nauczania. W praktyce pozbawi to polskie rodziny i ich dzieci możliwości wyboru szkoły, zmuszając je do uczęszczania do szkół z litewskim językiem nauczania. Przez pryzmat ostatnich trzech lat daje się już zauważyć negatywne skutki takich działań (tabela 2). Uczęszczanie zaś dzieci z rodzin polskich do szkół litewskich bez odpowiedniego przygotowania językowego i psychologicznego, gdzie dziecko wchodzi w obce środowisko językowe i kulturowe, negatywnie wpływa na jego psychikę, formowanie osobowości oraz hamuje rozwój. Powoli tę sytuację zaczęli dostrzegać i rozumieć rodzice, czego dowodem jest zahamowanie tendencji spadkowej zapisów do klas pierwszych, które w porównaniu z rokiem ubiegłym wzrosły o 0,13 %.

Wprowadzany obecnie nowy system finansowania szkół, tzw. „koszyk ucznia", jest niewygodny dla szkół mniejszości narodowych, gdyż jeszcze bardziej pogorszy sytuację finansową tych szkół. Projekt „koszyka ucznia" przewiduje dla szkoły polskiej na wsi współczynnik finansowania 1,1, natomiast w mieście – 1,05 w porównaniu do ogółu szkół w republice. Te liczby – 5 i 10 % – są dalekie od realnych wydatków finansowych niezbędnych do funkcjonowania szkoły polskiej, zakładając dwu-trzykrotnie droższe podręczniki, dodatkowy język i szerszy plan nauczania.

Wielkiszki - szkoła podstawowa *fot. A. Bekisz*

Z przykrością należy stwierdzić, że oprócz trudności obiektywnych nierzadko są tworzone trudności sztuczne. W ten oto sposób powstał problem matury z języka polskiego. W szkołach polskich egzamin z języka ojczystego został skreślony z listy obowiązkowych egzaminów maturalnych i przeniesiony na listę egzaminów do wyboru, co oczywiście spotkało się z ogromnym sprzeciwem społeczności polskiej na Litwie. Dowodem tego było 25 tysięcy podpisów zebranych przeciwko tej „innowacji". Ministerstwo znowu wyszło obronną ręką i w bieżącym roku szkolnym decyzję odnośnie obowiązkowej matury z języka ojczystego pozostawiono szkolnym radom, które nie zawsze mogą podejmować odpowiednie i pożądane decyzje (w szczególności w wypadku szkół dwu- i trzyjęzycznych).

W szkole narodowej egzamin z języka ojczystego powinien być obowiązkowy. Umieszczenie egzaminu z języka ojczystego wśród przedmiotów „do wyboru" mija się z celem egzaminu maturalnego, nazywanego „egzaminem dojrzałości". Język ojczysty jest narzędziem poznawania otaczającej rzeczywistości. Uczeń najgłębiej i najsprawniej może wykazać swoją „dojrzałość" intelektualną i obywatelską oraz umiejętność postrzegania i myślenia właśnie w języku ojczystym. Usunięcie języka polskiego z listy egzaminów obowiązkowych może osłabić u uczniów motywację doskonalenia swoich umiejętności w posługiwaniu się literacką polszczyzną. W językowo zróżnicowanym otoczeniu szczególnie ważna jest stała dbałość o poprawność i kulturę każdego języka. Tylko człowiek, który przywiązuje wagę do sposobu wysławiania się w języku ojczystym, kształtuje refleksyjny stosunek do języka w ogóle i podobnym szacunkiem darzy również wszystkie inne języki.

Zmiana statusu egzaminu z języka ojczystego spowoduje zmniejszenie się liczby obcujących z książką i z literaturą piękną młodych ludzi, a więc z prawdziwym światem wartości, których propagowania bardzo dzisiaj brakuje w naszych środkach masowego przekazu, w życiu prywatnym i społecznym.

Nie zaprzeczając idei sprawnie przebiegającej integracji z kulturą litewską i europejską, my humaniści – identyfikujący się z kulturą polską – wolelibyśmy nie przyspieszać sztucznie tego procesu, nie rezygnować zbyt łatwo i w zawrotnym tempie ze specyfiki tego regionu Europy. Hołdując integracji w styczniu 2001 roku Ministerstwo Oświaty i Nauki Litwy wraz z Instytutem Pedagogiki w ramach eksperymentu przedstawiło nowe 4 modele rozwoju szkoły narodowościowej. Głównym ich założeniem jest wprowadzenie nauczania części przedmiotów w języku litewskim z możliwością całkowitego przejścia do nauczania wszystkich przedmiotów w tym języku, z wyjątkiem języka polskiego i literatury.

„Macierz Szkolna" dogłębnie zbadała problem, przeprowadziła sondaż i na posiedzeniu Zarządu Stowarzyszenia z udziałem przedstawicieli szerokiej społeczności polskiej omówiła „eksperyment", ostatecznie wnioskując, że żaden z zaproponowanych 4 modeli nie odpowiada w pełni założeniom wszechstronnego rozwoju szkoły polskiej, gdyż zawęża używanie i uszczupla pozycję języka ojczystego, formującego w świadomości dziecka pojęcia i pamięć operacyjną oraz przeczy głównej i zasadniczej idei prowadzonej reformy – humanizacji szkoły.

Zwiększone nauczanie języka litewskiego, które rozpoczyna się już w klasie pierwszej, wprowadzenie nauki terminów z poszczególnych przedmiotów w języku litewskim oraz otaczające środowisko społeczne, dają gwarancję opanowania języka państwowego w stopniu dostatecznym. Proces zaś integracji w społeczeństwie przebiega poprzez ujednolicone programy nauczania i podręczniki, uczestnictwo w konkursach i olimpiadach, organizowanie działalności pozalekcyjnej, współudział w imprezach rejonowych, miejskich, republikańskich oraz wycieczki i codzienne obcowanie w gronie rówieśników.

Konkludując powyższe stwierdzamy, że szkoła polska w obecnym okresie nadal może się pomyślnie rozwijać, w oparciu o przyjęte zasady ogólne, a mianowicie:

- nauczanie wszystkich przedmiotów w klasach 1-12 w języku ojczystym;
- wzmocnione nauczanie języka litewskiego od klasy 1 do 12 poprzez wdrażanie nowoczesnych metod w nauczaniu języków, używanie materiałów dydaktycznych i poglądowości, doskonalenie kwalifikacji zawodowych kadry nauczycielskiej;
- wprowadzenie nauczania terminologii przedmiotowej w języku litewskim, tworząc odpowiednie słowniki terminów: polsko-litewskie i litewsko-polskie;
- ukierunkowanie pracy pozalekcyjnej na szersze poznanie kultury, tradycji i historii Litwy;
- aktywny udział we wspólnych imprezach międzyszkolnych, rejonowych, miejskich i republikańskich.

Uważamy, że szkoła polska jest konkurencyjna, zapewnia uczniom wszechstronny rozwój i pomyślny start w dorosłe życie, posiada odpowiednią kadrę pedagogiczną i głębokie tradycje historyczne. Pozostając ostoją języka, kultury i tożsamości narodowej, ma prawo bytu i perspektywę rozwoju w przyszłości.

Józef Kwiatkowski - prezes „Macierzy Szkolnej"

Prezydent RP o stosunkach polsko-litewskich

Na stosunki polsko-litewskie od początku miała wpływ postawa części mniejszości polskiej na Litwie. Po puczu w 1991 roku i rozwiązaniu przez władze litewskie rad samorządowych w rejonach solecznickim i wileńskim, kierowanych m.in. przez Polaków, z których część poparła pucz, stosunki były chłodne i miały wpływ na przebieg negocjacji traktatowych. Również w Polsce pojawiły się ekstremalne głosy, krytyczne wobec sposobu prowadzenia negocjacji z Litwinami. Problemem okazały się różnice w interpretacji wydarzeń historycznych, jakie miały miejsce między naszymi państwami w okresie międzywojennym.

Ale mieliśmy też poczucie wspólnych doświadczeń zdobytych w cieniu epoki jałtańskiej i w wyzwoleniu się z jej okowów. Odzyskanie pełnej suwerenności przez Polskę i Litwę było dla obydwu państw wartością nadrzędną, wartością, która pozwoliła nam przezwyciężyć trudności. Wspomniany Traktat o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy nie tylko otworzył drogę do budowania partnerstwa między nami, ale stał się także przełomem psychologicznym naszych społeczeństw i elit politycznych.

Podpisaliśmy szereg ważnych umów, w tym umowy o granicy państwowej, o wolnym handlu, o wymianie i współpracy młodzieży, o współpracy w dziedzinie kultury, oświaty i nauki. (...)

Nie do końca mamy unormowaną sytuację szkolnictwa polskiego na Litwie, przyspieszenia wymagają formalności związane ze zwrotem ziemi na Wileńszczyźnie i w rejonie solecznickim, nadal oczekujemy na podpisanie umowy o pisowni imion i nazwisk osób należących do mniejszości polskiej w RL i litewskiej w RP. Polscy Litwini mają również swoją listę problemów. Dialog w tych sprawach trwa nieprzerwanie i myślę, że przynosi dobre rezultaty.

Nie mogę w tym miejscu pominąć znaczenia zwiększenia udziału mniejszości polskiej w życiu politycznym Litwy. Powierzenie wysokich stanowisk w rządzie i władzach lokalnych w ostatnim czasie przedstawicielom litewskich Polaków, Akcji Wyborczej Polaków, stwarza nadzieję na zamknięcie pewnego etapu w relacjach polskiej mniejszości z państwem litewskim. Jest to szansa na ostateczne przełamanie stereotypów po obu stronach. Fakt ten będzie miał również duże znaczenie dla środowiska polonijnego, dla jego jedności i odzyskania poczucia wartości, że może ono wnosić konstruktywny wkład w rozwój państwa litewskiego i aktywnie uczestniczyć w rozwiązywaniu swoich spraw.

Wysoko cenię apel środowisk polskich na Litwie popierający integrację Republiki Litewskiej z Paktem Północnoatlantyckim.

Wyrażam przekonanie, że naszych dwustronnie nie rozwiązanych problemów nie będziemy wnosić, wraz z naszym członkostwem, do Unii Europejskiej.

Dziesięciolecie odnowienia stosunków dyplomatycznych byłoby dobrym momentem do zamknięcia otwartych jeszcze kwestii i skoncentrowania się na wypełnianiu treścią polsko-litewskiego partnerstwa strategicznego.

Fragmenty wywiadu z prezydentem A. Kwaśniewskim, opublikowanego w nr 1 (38) 2001 „Lithuanii", poświęconym X-leciu odnowienia stosunków dyplomatycznych Polski z Litwą

45 lat obecności Polaków na Litwie

„Polacy w Litewskiej SRR 1944-1989" to pierwsza na polskim rynku wydawniczym monografia na temat obecności Polaków na Litwie, przedstawiająca w sposób całościowy społeczność polską w okresie powojennym, kiedy obecna Litwa była jedną z republik Związku Radzieckiego. Jej autor, Aleksander Srebrakowski, wyjaśnia na wstępie, że za wyznaczeniem cezury 1944-1989 przemawiał fakt, iż w tym okresie Litwa była jednolitym „układem polityczno-administracyjnym" o ograniczonej suwerenności, zaś dla mieszkających tam Polaków rok 1944 stanowił „moment, w którym musieli się pogodzić z nieuchronnością zmian terytorialnych (...) i zaprzestać liczyć na powrót do sytuacji sprzed 17 września 1939". W wyniku przesunięcia granic, Polacy musieli decydować, czy pozostaną na ojcowiźnie czy wyruszą na Zachód. Był to również kres heroicznej walki o niepodległość, po którym rozpoczynało się szare życie w sowieckiej republice. Autor uzasadnia więc, że „dopiero od tego momentu można mówić o ukształtowaniu się polskiej diaspory na Litwie w jej dzisiejszym kształcie".

Pośród dość bogatej historycznej i przyczynkarskiej literatury o tematyce litewskiej, autor monografii wyznaczył sobie bardzo trudne zadanie. Publikacja jest owocem kilkuletnich badań. Autor wykorzystał w swej pracy wiele źródeł litewskich i polskich, prowadził kwerendy i badania, sięgał do informacji prasowych, korzystał z relacji naocznych świadków wydarzeń. Temat został przedstawiony w układzie chronologiczno-rzeczowym. Znajdujemy więc na kartach tej książki dokładną dokumentację różnych sfer życia polskiej społeczności na Litwie.

Autor przedstawia losy Polaków w dziewięciu rozdziałach, wychodząc od pierwszych śladów ich obecności w tym rejonie w okresie średniowiecza, a kończąc na obecnej pracy wielu organizacji polskich w wolnej Litwie. W rozdziale pierwszym omawia ciekawe formy współżycia Polaków i Litwinów od połowy XIII wieku, kiedy datuje się dobrowolny napływ ludności polskiej do miast i osad Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przypomina okres rozkwitu stosunków i zgodnego współistnienia po unii z Koroną i założeniu przez Stefana Batorego uniwersytetu w Wilnie, a następnie trudne lata zaborów oraz współudział Polaków i Litwinów w powstaniu styczniowym, aż po zakończenie pierwszej wojny światowej. Następnie zarysowuje sytuację Polaków w niepodległej Litwie w latach 1918-1940, przypomina okres konkurowania Polaków i Litwinów o to samo terytorium oraz głównego animatora polityki stworzenia państwa federacyjnego – Józefa Piłsudskiego. Z kolei przypomina ciężkie czasy drugiej wojny światowej, zwłaszcza po lipcu 1940 r. kiedy Litwa stała republiką sowiecką i nastąpiły liczne deportacje na Wschód.

W rozdziale drugim, zatytułowanym „Sytuacja Polaków na Litwie w okresie przesiedleń do Polski w latach 1944-1959", autor prezentuje kolejno następujące tematy: Pierwsze miesiące po zakończeniu okupacji hitlerowskiej; Działalność Związku Patriotów Polskich na Litwie; Ewakuacja ludności polskiej z terytorium Litewskiej SRR w latach 1944-47 (problemy ewakuacji polskich dzieci z domów dziecka – bilans ewakuacji ludności polskiej – „druga repatriacja" Polaków z Litwy); Podstawy funkcjonowania ludności polskiej na Litwie po zakończeniu ewakuacji; Litwini wobec Polaków; Stosunek władz polskich wobec Polaków na Litwie.

W kolejnym, trzecim rozdziale, autor prezentuje stan badań nad liczebnością, rozmieszczeniem oraz strukturą społeczną i zawodową Polaków w radzieckiej republice litewskiej, oparty głównie na czterech spisach ludności przeprowadzonych na terenie całego ZSRR w kolejnych latach 1959, 1970, 1979, 1989. Według danych z ostatniego spisu wynika, że na terenach radzieckich republik – Litewskiej, Białoruskiej i Ukraińskiej – mieszkało łącznie 894 893 Polaków, na ogólną liczbę 1 126 334 osób narodowości polskiej wykazanych w skali całego ZSRR. Zatem w bezpośrednim sąsiedztwie Polski mieszkało 79% wszystkich Polaków zarejestrowanych w Kraju Rad. Ich najliczniejsze grupy zamieszkiwały obszar byłych przedwojennych województw wileńskiego i nowogródzkiego, podzielonych obecnie pomiędzy Litwę i Białoruś. Według danych spisu było to 519 250 osób, tj. 46% całej populacji Polaków w ZSRR.

Rozdział czwarty poświęcony jest „Polskojęzycznemu szkolnictwu na Litwie w latach 1944-1989", w którym autor przy pomocy tabel i wykresów w sposób bardzo szczegółowy pokazuje „stan posiadania": liczbę szkół, klas i uczniów oraz omawia zasadniczy problem, jakim był brak podręczników do literatury polskiej i historii. Oceniając istniejący niemal pół wieku – pomimo wielu przeszkód – system szkolnictwa polskojęzycznego, autor podkreśla jego rolę w zachowaniu świadomości polskiego pochodzenia kolejnych pokoleń.

W rozdziale piątym, zatytułowanym „Koncesjonowane formy zachowania języka polskiego i polskiej kultury narodowej", zawarte zostały informacje o polskojęzycznych książkach, prasie oraz audycjach radiowych i telewizyjnych, jak też charakterystycznych formach działalności kulturalnej Polaków na Litwie, do którym zaliczyć należy m.in. kółka literackie, Klub Interesujących Spotkań, Polski Zespół Twórczości Amatorskiej, zespoły teatralne oraz folklorystyczne, którym początek dała „Wilia". Dużą rolę na polu informacji i kultury odegrał ogólnorepublikański dziennik „Czerwony Sztandar", docierający również do Polaków w innych republikach radzieckich. Wychodzący od 1953 r. jako organ partyjny, z biegiem czasu stał się interesującą gazetą, podejmującą tematy związane z problemami miejscowej ludności polskiej. Publikował m.in. materiały pomocnicze do nauki języka polskiego i literatury, a nawet tematy z zakresu historii Polski, z których „sprawny czytelnik mógł już coś wtedy wyczytać między wierszami". Redakcja przyczyniła się do wykształcenia wielu dobrych dziennikarzy, którzy w końcu lat 80. byli inicjatorami powołania niezależnej polskiej organizacji. „Właściwie można śmiało powiedzieć, że to właśnie „Czerwony Sztandar" pobudził Polaków do walki o własne prawa" – konstatuje autor.

Rozdział szósty jest ciekawym studium w zakresie problemu języka ojczystego ludności polskiej na Litwie, jej rusyfikacji, litwinizacji i wynaradawiania się Polaków.

Rozdział siódmy poświęcony jest postawom Polaków wobec komunistycznej partii Litwy, a – jak wynika z kilkunastu przedstawionych tabel – stanowili oni najmniejszą, znikomą liczbę członków Komunistycznej Partii Litwy. Może dlatego, że „bycie komunistą (...) było ewidentnym zaszczytem, na który trzeba było sobie zasłużyć odpowiednią postawą ideologiczną" i popar-

ciem kolektywu. Nikły udział Polaków w komunistycznej partii świadczy również o ich stosunku do komunizmu, pomimo zapisywania się do partii młodego pokolenia w celu utorowania sobie drogi do kariery zawodowej. Stosunek ten nie zmieniał się zasadniczo i w latach 1945-1990 oscylował w granicach 0,4 do 4 %. Natomiast zrozumienie przyczyn powtarzanej na przełomie lat 80. i 90. opinii o wielkim „skomunizowaniu Polaków", autor widzi w znalezieniu odpowiedzi na pytanie – „dlaczego większości Polaków na Litwie wydawało się lepsze zachowanie Litewskiej SRR niż odrodzenie niezależnej Litwy?".

„Polacy a Kościół katolicki na Litwie" to temat rozdziału ósmego, w którym autor prezentuje stan Kościoła jako instytucji oraz podstawy prawne jego działalności. Podnosi także kwestię katechizacji, propagandy ateistycznej i antyreligijnej, a na tym tle ukazuje stan zachowania wiary katolickiej przez Polaków na Litwie. Podkreśla bardzo ważną rolę Kościoła „w utrzymaniu spoistości polskiej społeczności w tym kraju oraz zachowaniu przez nią języka i kultury narodowej". Autor wskazuje także na powrót dawnych konfliktów litewsko-polskich, które ujawniły się wraz z odrodzeniem narodowym na Litwie.

W rozdziale dziewiątym „Sytuacja Polaków po roku 1987" autor omawia kolejno następujące zagadnienia: Czas litewskiego odrodzenia narodowego po roku 1987; Litewskie opinie prasowe o Polakach i kreowanie postaw antypolskich; Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polaków na Litwie (SSKPL) i jego działalność; Kwestia polskiej autonomii na Wileńszczyźnie; Tomas Venclova – głos wołającego na puszczy; Towarzystwo Litwa-Polska oraz Nowe organizacje powołane po utworzeniu Związku Polaków na Litwie.

Książka, choć jest obszerną pracą historyczną, ma tak przejrzysty układ chronologiczny i tematyczny, że można łatwo odnaleźć w niej interesujące czytelnika informacje. Ponadto w publikacji zamieszczone są aneksy, w których znajdziemy m.in.: Układ pomiędzy PKWN a Rządem Litewskiej SRR, dotyczący ewakuacji obywateli polskich z terytorium Litewskiej SRR i ludności litewskiej z terytorium Polski; Statut Związku Polaków na Litwie zatwierdzony przez Radę Ministrów Litewskiej SRR z 28 sierpnia 1989 r.; Uchwałę Prezydium Rady Najwyższej LSRR o statusie języka polskiego z 6 października 1988 r. i Dekret Prezydium Rady Najwyższej Litewskiej SRR o używaniu języka państwowego Litewskiej SRR z 25 stycznia 1989 r. W obfitej bibliografii znaczną część stanowią także archiwalia odsyłające zainteresowanych czytelników do konkretnych zespołów akt. Pomocne w lekturze są także indeksy nazwisk i nazw geograficznych.

Autorem tej ciekawej monografii jest dr Aleksander Srebrakowski – adiunkt w Zakładzie Historii Europy Wschodniej w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Autor „Sejmu Wileńskiego 1922 roku. Idea i realizacja" (Wrocław 1993, dodruk 1995) oraz współtwórca, wraz ze Stanisławem Ciesielskim i Grzegorzem Hryciukiem, książki „Masowe deportacje radzieckie w okresie II wojny światowej" (Wrocław 1993, II wyd. zmienione i rozszerzone 1994). Ma na swym koncie wiele artykułów historycznych o Polakach w ZSRR oraz o polskich zabytkach na terenie Kresów Wschodnich.

We wstępie do omawianej książki autor zapowiada, że w najbliższym czasie ukaże się druga jego monografia, poświęcona losom Polaków na Litwie po 1989 roku, zatytułowana „Polacy w odrodzonej Republice Litewskiej". Czekamy zatem na drugą część tej historii. Należy mieć nadzieję, że obie monografie – poza walorami naukowymi – spełnią ważną rolę edukacyjną: Polacy w kraju dowiedzą się o istnieniu i problemach mniejszości polskiej na Litwie, a Polacy z Litwy poznają własną historię. *(JW)*

Aleksander Srebrakowski, „Polacy w Litewskiej SRR 1944-1989", Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2000.

Rusza „Program Rozwoju Regionu Wileńskiego"

Opracowany w 1999 roku wspólnie z Biurem Projektowym PAG „Program Rozwoju Regionu Wileńskiego" został wręczony przez prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" prof. Andrzeja Stelmachowskiego przedstawicielom rządu Republiki Litwy w kwietniu 2000 roku. Kończący swoją kadencję rząd nie angażował się jednak zbytnio w realizację Programu, wychodząc prawdopodobnie z logicznego założenia, że rozsądniejsze będzie przekazanie problemu następcom. Wybory parlamentarne w październiku 2000 roku przyniosły istotne zmiany w układach politycznych Litwy. W tych warunkach koniecznym było wstrzymanie się od jakichkolwiek posunięć do czasu ukonstytuowania się nowego rządu. Gdy stało się to faktem dokonanym, przystąpiono niezwłocznie do nawiązania bezpośrednich kontaktów z jego przedstawicielami. W rezultacie przeprowadzonych rozmów zapadła decyzja zorganizowania w możliwie szybkim terminie spotkania delegatów obu naszych krajów w celu rozpoczęcia wprowadzania w życie „Programu Rozwoju Regionu Wileńskiego". Ustalono, że spotkanie odbędzie się w Domu Polonii w Pułtusku w dniach 13-15 luty br.

Ze strony Litwy zaproszeni zostali przedstawiciele Ministerstwa Rolnictwa, Kancelarii Prezydenta, Administracji Okręgu Wileńskiego (odpowiednik naszego województwa), Akcji Wyborczej Polaków na Litwie oraz Ambasady Republiki Litwy w Polsce. Stronę polską reprezentowali przedstawiciele Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska".

W rezultacie przeprowadzonych dyskusji i szczegółowej wymiany poglądów strona litewska zaakceptowała „Program Rozwoju Regionu Wileńskiego", wyrażając równocześnie opinię, że jego realizacja wpłynie korzystnie zarówno na rozwój ekonomiczny objętych nim terenów, jak również na proces integracji Litwy z Unią Europejską i ożywienie sąsiedzkiej współpracy z Polską. Stwierdzono ponadto, że Program będzie mógł stanowić przykład do ewentualnego wykorzystania przy opracowywaniu podobnych programów dla innych regionów kraju.

Uczestnicy spotkania sprecyzowali działania niezbędne do wprowadzenia w życie Programu oraz opracowali szczegółowy harmonogram zadań do zrealizowania w najbliższej przyszłości, zarówno przez stronę litewską jak stronę polską. Realizacja Programu została jednak uwarunkowana oficjalną zgodą rządu Republiki Litwy. Formalności związane z jej uzyskaniem trwały dłużej niż przewidywano – dokument aprobujący Program nosi datę 30 maja br. – co w konsekwencji spowodowało opóźnienie rozpoczęcia prac realizacyjnych, które obecnie są już w toku. *(KC)*

Festyn Polonijny w Hamburgu

Po trzech latach przerwy do Hamburga powrócił Festyn Polonijny. Tym razem w Komitecie Organizacyjnym imprezy znaleźli się: Wojciech Leszek Pomorski, prezes Nowego Związku Polaków w Niemczech – 2000 T. Z.; Brygida Gołębiowska, redaktor naczelny i wydawca dwutygodnika „Kurier" w Hamburgu; Iwona Czarnecka, skarbnik V Festynu Polonijnego oraz Jerzy Janusz, przedstawiciel Rady Rodziców Sobotniej Szkoły PMK w Hamburgu.

24 maja br. przy wspaniałej pogodzie bawiło się, według szacunku organizatorów, ponad 10 tys. osób. Nikt w najśmielszych oczekiwaniach nie mógł przewidzieć, że na stadion, gdzie Polacy zorganizowali swoje święto, przyjdzie taki tłum ludzi.

Jak przyznaje jeden z głównych organizatorów imprezy, prezes Wojciech Leszek Pomorski, wszyscy trochę bali się o frekwencję, o sprawną organizację, a nawet o pogodę. Teraz można śmiało powiedzieć – wszystko poszło na medal, włącznie z pogodą, która, jak rzadko w Hamburgu, tym razem pokazała, że i tu może być ciepło, miło i słonecznie.

Wszystko zaczęło się Mszą polową, którą odprawił ks. prałat Jan Śliwański. Po nabożeństwie organizatorzy zapewnili zwiedzającym wiele atrakcji zarówno kulinarnych, trafiających w gust nawet wybrednych i delikatnych podniebień, jak i muzycznych, sportowych oraz intelektualnych. Zaprezentowało się kilka zespołów muzycznych, znanych z licznych występów estradowych, jak grupa Nowego Związku Polaków w Niemczech – 2000 T. Z. – „Kontrast" z Hamburga, Kaszubski Zespół Pieśni i Tańca „Bytów" z Bytowa w woj. pomorskim i „Muzykanci" z Krakowa. Można było również posłuchać śpiewu Marii Bober, Dariusza Dąbrowskiego i Hanny Małeckiej – laureatów, odbywającego się w Blomenburgu, Konkursu Piosenki Polskiej w Niemczech. Swoimi skeczami popisywał się kabaret z Rendsburga i „Rekontra" z Hamburga.

Niezapomniane wrażenie wywarł na publiczności ludowy zespół folklorystyczny z Bytowa. Na długo pozostaną w pamięci przyśpiewki, ludowe piosenki i tańce, dzięki którym choć przez chwilę można było myślami wrócić na naszą, dawno już opuszczoną, polską ziemię – daleką, a jakże ciągle kochaną. Na licznych stoiskach, zorganizowanych przez polskich producentów, kusiły smaczne polskie potrawy, takie jak bigos, pierogi czy naleśniki. Nie zabrakło też polskich wędlin, które jak to zdecydowanie wszyscy podkreślali, są po prostu o niebo lepsze od wszelkich wyrobów niemieckich. W tym cudownym, polskim dniu zadbano nie tylko o nasze podniebienia. Organizatorzy pomyśleli także o czymś dla duszy. A cóż lepiej mogłoby ukoić nasze wspomnienia jak nie poezja? Swoje wiersze zaprezentował licznie zebranej publiczności poeta, grafik i malarz, pochodzący z Kaszub, Wacław Pomorski, który na jednym ze stoisk podpisywał swoje najnowsze tomiki poezji.

Do zorganizowana imprezy przyczyniła się Kancelaria Senatu Miasta Hamburga i Stowarzyszenie „Wspólnota Polska", a także wiele firm, działają-

cych na rynku hamburskim. Rangę imprezy podniósł swoją obecnością przedstawiciel polskiej placówki dyplomatycznej w Hamburgu.

Piękna pogoda, liczne imprezy dla dzieci i dorosłych spowodowały, że do późnych godzin wieczornych gości na stadionie nie ubywało. Przybywali całymi rodzinami. Przeważnie były to rodziny polskie, mieszkające w Hamburgu lub okolicy, ale nie brakowało mieszanych, a nawet tylko niemieckich, które chciały zobaczyć, jak bawią się i świętują ich sąsiedzi – Polacy. Nie zawiedli się. Z rozmów, jakie przeprowadziłem na miejscu, wynika jeden wniosek – pomysł zorganizowania festynu okazał się strzałem w dziesiątkę. Nic tak bowiem nie łagodzi obyczajów i nie łączy ludzi, jak wspólne zabawy i spędzanie wolnego czasu. Mogą one uczynić więcej dla poprawy wzajemnych stosunków polsko-niemieckich niż niejedno oficjalne spotkanie polityczne.

Waldemar Maszewski

Karnawał Kultur

W dniach 1-4 czerwca 2001 Berlin bawił się w rytmach salsy, samby i... „Deszczowej piosenki". Ogniste rytmy, bajecznie barwne kostiumy uczestników i pół miliona widzów, mniej lub bardziej wodoodpornych. Aura towarzysząca szóstemu już z kolei Karnawałowi Kultur była wyjątkowo kapryśna. Pierwsze dwa dni imprezy – festyn na Blücherplatz, Berlin-Kreuzberg – upłynęły pod znakiem parasolki. Największe rozczarowanie meteorologiczne przyniósł trzeci, kulminacyjny, dzień imprezy. Zebrani na karnawałowym szlaku liczyli w skrytości ducha na parę suchych i w miarę ciepłych godzin. Płonne nadzieje! Przeplatanka deszczu, słońca i przenikliwego wiatru daleka była od atmosfery w Rio de Janeiro. I tak pozostało już do końca imprezy.

Berliński multikulturalny karnawał zadomowił się na dobre w pejzażu miasta i cieszy się rosnącą sympatią jego mieszkańców i gości. W tym roku wzięło w nim udział 4000 uczestników z 70 krajów, przy czym większość z nich to Berlińczycy cudzoziemskiego pochodzenia. A było co podziwiać! Pochód karnawałowy, składający się z formacji pieszych i zmotoryzowanych, przez wiele godzin przemierzał ulice Berlina na trasie Herrmannplatz – Yorckstrasse.

Korowód roztańczonych, rozśpiewanych i muzykujących grup jawił się rozbawionej widowni w całym bogactwie strojów narodowych, lub spreparowanych specjalnie na tę okazję, fantazyjnych kostiumów.

Na platformach wozów, których dekoracje współgrała tematycznie z mottem występów jadących na nich grup, kłębili się kolorowi uczestnicy karnawałowego szaleństwa. Wszyscy w iście karnawałowym nastroju, zadowoleni z wyników wielomiesięcznych przygotowań i nieskrywanych satysfakcji z możliwości pokazania własnej kultury na zewnątrz.

Miło było zanotować premierowy udział naszych rodaków zarówno w festynie, jak i też w korowodzie karnawałowym. Polski wóz z numerem 51 wieńczyła flaga narodowa. Zespoły z kraju – „Polaniorze", „San Sebastian" – oraz berlińskie „Szuroki" pokazały, że sztuka bawienia się i zabawiania publiczności jest Polakom bardzo bliska. Temperamentu też im nie brakowało!

Stoisko kulinarne w barwach Polski firmował dobrze znany w Berlinie sklep „KLON".

Pod „żywieckimi" parasolami biesiadowali zarówno smakosze polskiej kuchni, jak i przypadkowi odkrywcy kulinarni. Ci ostatni ryzykowali ostatecznie zamówieniem flaczków, żurku, krupnioka lub polskiej kiełbasy, a popijając „Żywiec" dziwili się, jakie to rozkosze uszły dotychczas uwadze ich podniebienia.

Oprócz niełaskawej aury dały się we znaki dwa niedociągnięcia, tym razem mieszczące się w kompetencjach organizatorów. Pierwsze z nich to spory „poślizg czasowy" (2,5 godziny), z jakim rozpoczął się pochód karnawałowy. Drugie – to mało przejrzysty informator programowy.

Czterodniowe szaleństwo, oplecione bogatym repertuarem imprez towarzyszących na ulicach i w popularnych klubach miasta, pozwoliło zapomnieć o prozie rzeczywistości. Potrzeba kontynuacji tej udanej i lubianej imprezy w stolicy Niemiec, wielomilionowym tyglu skupiającym ludność „czterech stron świata", nie podlega dyskusji. Karnawał Kultur to przede wszystkim święto tolerancji, poznawania i poszanowania obcych kultur.

A że nadmiar tych wartości nam w obecnych czasach raczej nie zagraża, cieszmy się z rangi, na jaką sobie zasłużył.

tekst i zdjęcia - Dorota Hoffmann

Towarzystwo Kultury Polskiej w Samborze

Minął pierwszy rok pracy nowego zarządu Towarzystwa Kultury Polskiej w Samborze. Czas biegnie szybko, wiele udało się nam osiągnąć, wiele zostało jeszcze do zrobienia.

Największą wagę w naszej działalności przywiązujemy do polskiego szkolnictwa. Uważamy, że znajomość języka naszych rodziców jest podstawowym składnikiem wychowania naszej młodzieży w duchu polskości. W roku szkolnym 2000/2001 przeprowadziliśmy reformy polskiego szkolnictwa w Samborze. W ubiegłych latach lekcje języka polskiego odbywały się tylko w jednej szkole, w szkole nr 7. W związku z tym, że Sambor jest miastem rozległym, położonym na obszarze 7 kilometrów, a lekcje odbywają się w godzinach popołudniowych, dzieci miały trudności z dotarciem do szkoły. W tym roku zajęcia odbywają się w szkołach nr 3, 7, 10 i w szkole zawodowej nr 24. Efekt jest natychmiastowy. Od kiedy dzieci mają bliżej do szkoły, wzrosła ilość uczniów, zmniejszyła natomiast liczba nieobecnych na lekcjach.

Czyniliśmy starania, aby w roku szkolnym 2000/2001 zarejestrować pierwszą klasę z polskim językiem nauczania. 19 rodziców złożyło podania do władz miejskich. Niestety, władze pozostają obojętne wobec praw naszej mniejszości narodowej. Aby nie zmarnować roku szkolnego, zebraliśmy wszystkich pierwszoklasistów w jednej klasie. Busem dowozimy dzieci do szkoły. Naraziliśmy się tym na duże koszty, ale dzięki sponsorom, w tym roku było to możliwe. Co nam to dało? Dzieci mają lekcje polskiego od razu po lekcjach ukraińskiego dwa razy w tygodniu. Są wszystkie razem. Wynajęliśmy choreografa i nasi uczniowie utworzą polski zespół taneczny. Dzieci są objęte opieką lekarską, stale też otoczone są troską Towarzystwa, staramy się pomagać materialnie tej klasie. Z woli rodziców zbieramy podania do

Dom parafialny *fot. J. Dudek*

władz miejskich o zorganizowanie w przyszłym roku następnej polskiej klasy pierwszej.

Szkoła w Łanowicach, w której wszyscy uczniowie są Polakami, jest w trakcie remontu. Dzięki sponsorom i władzom udało się położyć nowy dach, wymienić podłogi i piece. Remont budynku trwa, a dzięki uprzejmości miejscowego księdza Jana Ożoga, dzieci uczą się na plebanii.

Obecnie nauką języka polskiego w Samborze i okolicach objęte jest ponad 360 dzieci. Tylko w Łanowicach (1 godzina tygodniowo) i Maksymowicach (3 godziny tygodniowo) państwo ukraińskie płaci nauczycielom za lekcje języka polskiego. W Samborze

Kamienice przy samborskim rynku *fot. J. Dudek*

i innych miejscowościach nie finansuje tych zajęć. Staramy się znaleźć wspólny język z miejscowymi władzami i, choć to trudne, cierpliwością i dyplomacją wywalczyć swoje prawa. Prosimy, aby wspierać nas w Polsce w kołach władzy i polityków.

Jednym z zadań Towarzystwa jest prowadzenie działalności kulturalnej. Obchody świąt narodowych, jak 3 Maja, 11 Listopada weszły na stałe do kalendarza imprez organizowanych przez Polaków w Samborze. Uroczyście obchodzimy wszystkie jubileusze związane z wielkimi ludźmi Polski. Delegacja z Sambora uczestniczyła w Stanisławowie w ceremonii poświęcenia tablicy ku czci F. Karpińskiego. Nasz zespół „Żarna" i chór dziecięcy „Cantate Domino" w ciągu całego roku aktywnie uczestniczą w różnych festiwalach. W tym roku dołączy do nich dziecięcy zespół taneczny. Każdego roku w szkole nr 7 dzieci zbierają się z okazji świętego Mikołaja, ostatnio, dzięki Generalnemu Konsulowi ze Lwowa, nasi najmłodsi otrzymali słodkie upominki.

Nasze Towarzystwo w centrum miasta wynajmuje mieszkanie, w którym urządziliśmy biuro. Dzięki temu łatwiej nam skoordynować nasze działania. Z biura korzystają też harcerze.

Za sprawą życzliwych nam ludzi, zostaliśmy zaopatrzeni w książki, nasza młodzież mogła zwiedzić Cmentarz Orląt, pójść do teatru i cyrku. Zorganizowaliśmy także wycieczkę szlakiem „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza.

Od 1 września wydajemy w Samborze miesięcznik „Zwiastun Sambora". Robimy to amatorsko, ale w krótkim czasie pismo zdobyło popularność. Wychodzi nakładem 150 egzemplarzy i jest bezpłatne.

Opiekujemy się też miejscowym cmentarzem, na którym przed 1 listopada robimy generalne sprzątanie, ale i w ciągu roku dbamy o porządek na grobach znanych i nieznanych nam Polaków.

Swoją pracą, postawą i działalnością staramy się zdobyć wiarygodność. Cieszy fakt bliskiej współpracy z Kościołem, nawiązaliśmy dobre stosunki osobiste z ks. Andrzejem Kurkiem. Smuci natomiast, że często pozostajemy w cieniu, nie zauważeni. Delegacje, jadące do Drohobycza czy Stryja, omijają nasze miasto. Mamy jednak nadzieję, że uda nam się nadrobić wieloletnie straty i że niedługo nasza 3000 osobowa społeczność będzie widoczna w gronie kresowym.

Marian Wawrzyszyn

Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej
w Samborze
81-400 Sambor, Rynek 36/17
skr. poczt. 23
tel. (0038-03236) 98244

Kościół pw. Matki Boskiej i Ścięcia św Jana Chrzciciela *fot. J. Dudek*

W Kosowie u pani Zofii

Przed wojną wielkim powodzeniem wśród polskich turystów i urlopowiczów cieszył się najwyższy łańcuch górski w Karpatach Wschodnich, czyli pasmo Czarnohory. Malownicze te tereny przyciągały ludzi nawet z centralnej Polski. Niektórzy, zauroczeni miejscem, osiadali na stałe w małych miasteczkach górskich, oddalonych obecnie od centrów cywilizacji, a wtedy kwitnących i modnych, takich jak np. Kosów. Dziś miejscowości przepięknie położone pomiędzy górami straciły dawny blask, zmienił się układ przestrzenny – pierwotny układ architektoniczny został zniszczony pomysłami realnego socjalizmu. Zniknęli też przeważnie dawni mieszkańcy. Pozostała natomiast przyroda, której mimo wysiłku wielu, nie udało się do końca zniszczyć. Jeszcze dzisiaj okolica zachęca do pieszych wędrówek po górach, uznawanych za najdziksze góry Europy i do spotkań z Hucułami – z ich folklorem, sztuką, muzyką. Polacy, którzy się tutaj zapuszczą, będą mieli możliwość odbycia spotkania z historią Polski, być może uda się porozmawiać z kimś, kto przemówi w naszym języku, pielęgnowanym w ukryciu przez cały okres powojenny, i opowie historię tych ziem i wydarzeń sprzed lat.

Najwyższym szczytem pasma Czarnohory jest Howerla wysoka na 2061, z której szczytu widać całą okolicę. Tu biją źródła wielu rzek, m.in. sławnych Prutu i Czeremoszu. Przed pierwszą wojną na drugim co do wielkości szczycie Czarnohory – Popie Iwanie, na wysokości 2022 m wybudowane zostało obserwatorium astronomiczne. Jak dobry to był punkt, świadczy fakt, że pieniądze na budowę placówki wyłożyła Anglia. Obserwatorium służyło nie tylko Rzeczypospolitej – stąd pochodziła prognoza pogody dla całej Europy. Dzisiaj na Popie Iwanie – obok śladów okopów strzeleckich z pierwszej wojny, obejrzeć możemy to, co po obserwatorium pozostało. Gołe ściany z daleka sprawiają bardzo malownicze wrażenie potężnego, średniowiecznego zamczyska, z bliska są przygnębiającą ruiną, a o dawnej świetności miejsca świadczyć może jedynie zachowany, piękny niegdyś, parkiet z czerwonego drewna.

Pomiędzy górami, w długiej kotlinie nad rzeką Rybnicą położone jest małe miasteczko – Kosów. Miejsce wymarzone dla odpoczynku, o wspaniałym klimacie – to tutaj notowano najwyższą średnią temperatur w II Rzeczypospolitej. Miejscowość, licząca obecnie ok. 9 tys. mieszkańców, słynęła zawsze i nadal znana jest z wyrobów rzemiosła ludowego. Przed wojną była tu fabryka Baranowskich, która specjalizowała się w wytwórni huculskich wyrobów ceramicznych. Produkowano je wówczas w trzech charakterystycznych kolorach – żółtym, zielonym i czerwonym. Później już dodano kolor niebieski, co zresztą wprowadziło sporo zamieszania, jako że władze komunistyczne uznały w końcu, że żółty i niebieski są barwami nacjonalistów ukraińskich i nie pozwalały na to połączenie. Do dzisiaj na targu huculskim można kupić produkowane w Kosowie i w okolicznych wioskach malowane w huculskie wzory naczynia, świeczniki czy bardzo typowe „lyżniki" – ciepłe, wełniane koce huculskie.

Kosów przed wojną był bardzo popularną miejscowością wypoczynkową. Rozsławił go w całej Polsce doktor Apolinary Tarnawski. A to za przyczyną stosowanej przez niego terapii leczniczej. Jak wspominają ci, którzy znali go osobiście, doktor miał żonę o dość obfitych kształtach. Szukając sposobu na jej odchudzenie, Apolinary Tarnawski wymyślił nową, bardzo niekonwencjonalną terapię. W 1891 r. w pięknych willach nieopodal Rybnicy założył sanatorium, leczące otyłość. Wprowadził w nim ostry reżim dietetyczny, swoim podopiecznym nakazywał biegać boso, kąpać się w lodowatej, górskiej rzece, wykonywać ciężkie ćwiczenia i pracować fizycznie, a wszystko to we własnoręcznie tkanych płóciennych sukniach. Jego zakład, działający w latach 1891-1939 r., gromadził elitę z całej Polski. Bogate mieszczuchy, przywykłe do wygody i obfitego jedzenia, zjeżdżały tu z całego kraju i za własne, duże pieniądze godziły się na wszystkie uciążliwości, ku uciesze mieszkańców Kosowa. Trudno powiedzieć, jakie były efekty tej kuracji – żona Apolinarego podobno nie schudła, za to jego kiesa wypełniała się szybko. Dziś z zakładu Tarnawskiego pozostało kilka interesujących budynków, wśród nich budynek łaźni, niestety w nie najlepszym stanie. Apolinary Tarnawski wyjechał z Kosowa w czasie wojny i jego legenda odeszła w zapomnienie. Dziś nadal leczy się tutaj ludzi, ale tamtej atmosfery, bez doktora powtórzyć już się nie da.

Nie ma już dawnego Kosowa. Na szczęście są jeszcze tacy, którzy mimo nie najlepszych czasów dla eksponowania tego, co polskie, zbierają pamiątki, informacje o przeszłości, pragnąc ocalić to, co tworzyło niepowtarzalny urok tego terenu. Nasz przewodnik pan Wiktor, mimo że przyjezdny, z wielkim entuzjazmem opowiada nam o historii miasta, o jego dawnych mieszkańcach. Na spotkanie przynosi album ze starymi zdjęciami i łamaną polszczyzną tłumaczy, kto spogląda na nas z pożółkłych fotografii. Jest więc pani Staszyńska – córka miejscowego obrońcy przyrody, który starał się ocalić tutejsze skarby – rzekę Rybnicę i wspaniałe lasy. W zbiorach naszego przewodnika znajduje się fotografia Apolinarego Tarnawskiego. Przy tej okazji słyszymy historię życia znanego nam już doktora. Dowiadujemy się od pana Wiktora, że doktor Tarnawski był synem obrońcy Lwowa, też Apolinarego i na jego cześć otrzymał imię. Po wybuchu wojny wyjechał z Kosowa i umarł 1943 r. w Palestynie. Obok Apolinarego na zdjęciu jego córka Tereska. Na terytorium zakładu leczniczego do dzisiaj znajduje się jej dom. A to pani Luna, też Polka, która zmarła w 1974 r. – jedna z nielicznych Polek, które nie wyjechały stąd po wojnie. A to pani Gruszkowska – odeszła też nie tak dawno. Gruszkowscy zajmowali się wyrobem kilimów. Na fotografiach zatrzymany świat, jakiego już nie ma. Jeszcze tylko przedwojenna pani Zonia, która wypatrywała nas, gdy tylko dowiedziała się, że przyjechaliśmy z Polski.

Pozostało jeszcze kilka materialnych śladów tamtego świata. W samym mieście góra, na której stał niegdyś zamek Kossakowskich, a poza miastem, wysoko w górach na „Pisanym Kamieniu" wyryty napis, poświęcony marszałkowi Piłsudskiemu. Na dawnej ulicy nadbrzeżnej kilka starych, polskich domów. Niegdyś stał tu budynek Sokoła, ale już go nie ma – spłonął w czasie wojny. W centrum z przedwojennej zabudowy pozostało trochę starych budynków pożydowskich. W miejscu synagogi zrobiono muzeum, a na części cmentarza żydowskiego zbudowano bloki. Ocalała część kirkutu prezentuje bardzo unikalne groby, najstarsze nawet z 1700 r.

W przylegającej do sanatorium dzielnicy Moskalówka oglądamy cmentarz katolicki z grobami Tarnawskich i kaplicą cmentarną. Nie ma już zabytkowego polskiego kościoła z XVI w. Niestety, nie mieścił się w planach nowoczesnej zabudowy miasta. W 1975 r. przyjechały traktory i zniszczyły cenny zabytek, bo zawadzał o kilka metrów budowie nowego Instytutu Sztuki. Wokół obecnej uczelni pozostały stare drzewa i plebania. Zastanawiano się również nad cmentarzem polski, który miał również ulec zniszczeniu – w planach była budowa przystanku autobusowego, na szczęście chociaż ten ocalał. Nasz przewodnik cały czas towarzyszący nam w wędrówkach po mieście z żalem komentuje: „Ot, taka była polityka, straszna polityka. Niszczyli nie tylko kościoły, ale i cerkwie też. Starą, XVI-wieczną cerkiew Dobosza też spalili". Przygnębieni takim podsumowaniem pana Wiktora idziemy do pani Zoni, by dalej szukać pamiątek naszej historii.

Pani Zofia Baranowska, teraz nosząca nazwisko Baranienko, kobieta w wieku około 90 lat, wypatrywała nas z niecierpliwością. Chcieliśmy wejść na chwilę, bez sprawiania kłopotu, ale gdzie tam, nie było o tym mowy. Posadziła wszystkich przy stole, zaraz znalazły się ciastka i wino domowej roboty, i pani Zonia rozpoczęła opowieść o swoim życiu, o rodzinie, o tych, których znała przed wojną.

Ponieważ dom pani Zofii znajduje się tuż przy terenie dawnego zakładu leczniczego doktora Tarnawskiego, starsza pani dobrze pamiętała tę postać. Rozpoczęła się więc długa opowieść o rodzinie Tarnawskich....

„Apolinary Tarnawski był bardzo porządnym człowiekiem i dobrym lekarzem. Gdy moja mama była umierająca, to natychmiast przyszedł i ratował ją, jak tylko mógł. Poznałam go, gdy miałam około dziesięciu lat. Miał grubiutką żonę, nawet powiedziałabym bardzo grubą. Gdy się z nią pokłócił, wymawiał jej tę tuszę, nieraz nawet w sposób nieelegancki. Pamiętam, że był bardzo biedny, jadał tylko mamałygę i pił kwaśne mleko. Potem wzbogacił się bardzo dzięki sanatorium. Początkowo miał u siebie kilku letników, z czasem było ich coraz więcej. Przyjeżdżały do niego bardzo eleganckie panie, a on je w takie worki ubierał. Wszyscy w Kosowie się dziwili. Doktor miał czworo dzieci, dwie córki i dwóch synów. Nie wiodło im się jednak, rodzina była bardzo nieszczęśliwa. Jedna córka umarła jako małe dziecko, syn Wit, bardzo inteligentny chłopiec, miał jedną nogę krótszą, drugi syn był garbaty. Pamiętam, jak strzelił do siebie z rewolweru któregoś majowego dnia. Córka doktora Tereska wyszła za mąż w wieku 32 lat. Jej mąż był młodszy, miał 26. Był niewykształcony, z prostej rodziny, mówią, że ożenił się dla pieniądzy. W czasie wojny kolaborował z Niemcami, ale tak sprytnie, że nikt o tym długo nie wiedział. Panienka wyjechała w czasie wojny, bo tu było strach

zostać – Niemcy, banderowcy, każdy dzień był niepewny. Uciekała z małym synem i na dodatek w ciąży. Podobno pracowała potem w Angli jako kelnerka, a była taka wykształcona... Po jej mężu słuch zaś zaginął.

Ja jako dziecko bardzo bałam się pana Tarnawskiego. Pamiętam, że kiedyś zawołał mnie, kiwając palcem, i spytał – «dziecko, czemu ty się mnie boisz, ja nie jestem twoim wrogiem». Pewnie, że nie był, ale się go bałam, bo mój ojciec procesował się z nim o ziemię – do sądu do samej Kołomyi jeździli".

Na naszą prośbę, by opowiedziała coś o swojej rodzinie, pani Zofia wzruszyła się bardzo i z płaczem kontynuowała opowieść.

„Przed wojną to były czasy... Tata był oficerem wojska polskiego, w Kosowie pracował jako urzędnik. Mieliśmy guwernantki, służbę, piękne suknie. Było nas pięcioro rodzeństwa, ale biedy u nas nigdy nie było. Mama pochodziła ze Lwowa. Była piękną panienką i jej rodzice nie chcieli bardzo, żeby wychodziła za mąż za Hucuła. Gdy tu przyjechała, zastała prostą, wiejską chatę z wielkim piecem do spania. Pozmieniała tu wszystko, uporządkowała i żyliśmy dobrze. Ale dziadek to był Hucuł, charakter miał trudny. Któregoś dnia pokłócił się z ojcem i wypędził nas z domu. Mój tata bardzo lubił procesy, więc i z dziadkiem się sądził, dopóki dziadek nie umarł.

Żyliśmy więc bardzo dobrze – wojna wszystko zmieniła. Pamiętam Wrzesień. Przez Kosów szli wielcy dygnitarze polscy, chyba nasz rząd, który uciekał do Rumunii. Zatrzymali się na chwilę w moim domu, nie wiem, dlaczego akurat u nas, nie pamiętam, co mówili. Byłam taka oszołomiona. Przypominam sobie tylko, że byli bardzo smutni. Idąc, cały czas oglądali się za siebie, jakby żegnali się na zawsze. A przecież nikt nie sądził, że tak to się wszystko skończy. Została mi po nich pamiątka – okulary. Nie pamiętam, czy to był prezent, czy po prostu ktoś z nich zapomniał ich ze sobą wziąć. Zostały u mnie i są moją najcenniejszą pamiątką po starych czasach..

W czasie wojny byłam ranna, trzy razy trafili mnie kulą, raz nawet kula przeszyła rękę na wylot. To były straszne czasy. W naszej stodole ukrywaliśmy żydów, więc baliśmy się bardzo. Ale najgorzej było po wojnie. Głową miasta został prosty chłop, nie umiał nawet pisać, i niszczył wszystko, co się dało. A bieda była tak straszna, że przez kilka lat do miasta nie chodziłam, bo nie miałam w czym".

A teraz...

„Z Polaków nikt prawie tu nie pozostał. Wszyscy wyjechali albo poumierali. Jest kilkanaście polskich rodzin, ale nawet po polsku nie mówią, więc nie mam z kim porozmawiać. Kościół zrównali z ziemią już dawno i teraz Msze odprawiane są w kaplicy cmentarnej. Towarzystwo polskie jest, ale działa bardzo słabo. Odwiedzamy się, pomagamy sobie, ale tu nikt nie ma głowy tym się zajmować. Na Ukrainie porozkradali wszystko, czego nie zniszczył komunizm, i teraz Ukraina bieduje. Cierpią jednakowo wszyscy i Polacy, i Ukraińcy. Ja sama mam emerytury 58 hrywien i gdyby nie dzieci, umarłabym z głodu. I teraz tylko tak sobie myślę, co to się stało?, jak?, że z takich dobrych warunków, z takiego dobrobytu w takiej nędzy muszę kończyć życie".

Joanna Dudek

Polscy rolnicy na Ukrainie

Chcąc opisać warunki, w jakich obecnie żyją i pracują polscy rolnicy na Ukrainie, niezbędnym wydaje się zilustrowanie w skróconej chociaż formie panującej tam aktualnie sytuacji. Faktem nie podlegającym wątpliwości jest schyłek epoki „socjalistycznej kolektywizacji". Nieuchronny upadek kołchozów przybiera na sile i całkowity ich zanik jest wyłącznie kwestią czasu. W rysującej się perspektywie powinny one zostać zastąpione towarowymi, ekonomicznie samodzielnymi gospodarstwami typu rodzinnego. Droga do tego będzie jednak nie tylko długa i ciernista, ale przede wszystkim wymagająca poważnych nakładów kapitałowych, które stanowić będą jeden z podstawowych problemów.

Nie można w tym miejscu pominąć sprawy nie przygotowania kołchozowej społeczności do samodzielnego gospodarowania na własny koszt. Gdy w następstwie upadku Związku Radzieckiego Ukraina uzyskała państwowość, rolnictwo jej było oczywiście całkowicie skolektywizowane. Niemniej w krótkim czasie zaczęła wzrastać liczba osób zainteresowanych samodzielną pracą na roli. Według uzyskanych miarodajnych opinii środowisk wiejskich, zjawisko to obejmowało około 1/3 członków kołchozów.

Podstawowym elementem wstrzymującym restrukturyzację ukraińskiego rolnictwa jest brak prawa własności ziemi, której jedynym właścicielem i dysponentem jest państwo. W tych warunkach prywatna działalność gospodarcza, dotycząca większych powierzchni jest na razie możliwa wyłącznie na gruntach dzierżawionych od państwa. Inna jest sytuacja na działkach o powierzchni nie przekraczającej 3 ha, tzw. „pajach", które – stanowiąc indywidualne udziały kołchoźników – są własnością kołchozu jednak członkowie kołchozu mogą użytkować je bezpłatnie. Sytuacja ta uległa ostatnio zasadniczej zmianie, polegającej na rozpoczętym procesie ich prywatyzacji. W konsekwencji każdy dotychczasowy użytkownik może zostać pełnoprawnym właścicielem swojego „paja", który staje się równocześnie obiektem komercjalnym, podlegającym normalnym prawom rynkowym. Stanowi to obiecujący krok w kierunku nieodzownej restrukturyzacji ukraińskiego rolnictwa.

Opisany powyżej stan rzeczy dzieli gospodarstwa rolne na dwie podstawowe grupy: drobne kilkuhektarowe obiekty, ukierunkowane na zaopatrzenie swoich właścicieli lub jeszcze użytkowników oraz towarowe przedsiębiorstwa rolne, których powierzchnie oscylują od kilkudziesięciu do kilkuset hektarów. Użytkownicy tej drugiej grupy, określający się logicznie „farmerami", zawiązali, broniące ich interesów i niezależne od administracji państwowej, ogólnokrajowe stowarzyszenie pod nazwą „Asocjacja Farmerów Ukrainy". Pomimo niełatwych i mało sprzyjających okoliczności liczba gospodarstw pracujących na własny rachunek, zarówno drobnotowarowych, jak i typu farmerskiego, charakteryzuje się stałą i postępującą tendencją wzrostową.

Zdając sobie sprawę z wagi tego procesu, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" przystąpiło w pierwszych miesiącach 1996 roku do organizowania na terenach o znaczniejszej liczbie rolników polskiego pochodzenia szeroko pojętego wsparcia tego odradzającego się środowiska. Dotyczyło to w pierwszym rzędzie pomocy rzeczowej, obejmującej maszyny, sprzęt i narzędzia, środki ochrony roślin oraz materiał siewny i sadowniczy. Pomoc ta wzrasta w dostosowaniu do zmieniających się potrzeb i jest kontynuowana.

Biorąc pod uwagę konieczność przygotowania rolników do samodzielnej działalności gospodarczej w warunkach powstają-

cego wolnego rynku nasza uwaga została skierowana na problemy edukacyjne. W celu dostosowania się do lokalnych warunków i realnych potrzeb przeprowadzono z zainteresowanymi farmerami i rolnikami szereg konsultacji dotyczących zakresu, tematyki i organizacji kursów szkoleniowych oraz praktyk i staży specjalistycznych. W rezultacie na przełomie lat 1998/1999 rozpoczęto systematyczną akcję szkoleniową, prowadzoną przez wykładowców z Wojewódzkiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Końskowoli i Zespołu Szkół Rolniczego Centrum Kształcenia Ustawicznego w Łowiczu, obejmując nią obwody lwowski, chmielnicki, winnicki i żytomierski. Niezależnie od kursów prowadzone są w okresie wegetacyjnym praktyki i staże specjalistyczne w gospodarstwach na terenie Polski. W zależności od zainteresowań rolników obejmują one wybrane specjalności: warzywnictwo, produkcję roślin zbożowych, pastewnych i przemysłowych, sadownictwo, pszczelarstwo itp. Ponadto co roku organizowane są, również w Polsce, grupowe wizyty studyjne o ściśle określonych programach tematycznych. W ramach pomocy edukacyjnej prowadzona jest również prenumerata fachowych czasopism rolniczych, które obejmują szeroki wachlarz specjalności oraz liczną i stale wzrastającą ilość odbiorców.

Odrębną akcję, zmierzającą do zintegrowania środowiska, rozpoczął zwołany w Winnicy 6 grudnia 1997 roku I Zjazd Polskich Farmerów, który zgromadził przedstawicieli ośmiu obwodów. Obecni byli ponadto m.in. konsul generalny RP Kazimierz Chyc i attaché BRH przy Ambasadzie Kazimierz Królikowski, członkowie kierownictwa „Asocjacji Farmerów" oraz Związku Polaków na Ukrainie z prezesem Stanisławem Kosteckim na czele. Na Zjeździe powołano 9-osobową Radę Konsultacyjną, reprezentującą środowisko polskich farmerów na Ukrainie.

Następnym etapem była sesja Rady Konsultacyjnej, zorganizowana w Koziatynie 7-8 marca 1998 roku. Zostało na niej postanowione powołanie Związku, zrzeszającego farmerów i rolników polskiego pochodzenia oraz rozpoczęcie organizowania oddziałów terenowych jak również przystąpienie do redagowania tekstu statutu. W sesji uczestniczyli p. Eugeniusz Jabłoński z konsulatu RP w Kijowie oraz przedstawiciele władz naczelnych rejonu i miasta Koziatyn, władz obwodowych „Asocjacji Farmerów", kierownictwa Związku Polaków na Ukrainie, a także reprezentanci handlu produktami rolnymi i sprzętem rolniczym oraz banku zainteresowanego stroną finansową przedsiębiorstw rolnych.

II Zjazd Polskich Farmerów odbył się 12 grudnia 1999 roku w Chmielnickim. Dokonano na nim wyboru władz stowarzyszenia, któremu nadano nazwę „Asocjacja Rolników Polskiego Pochodzenia – Solidarność". Prezesem 18-osobowego zarządu został Kazimierz Gładyszewski, farmer z rejonu wołoczyskiego, sekretarzem – Alla Czemerys, zamieszkała w Kijowie, skarbnikiem – Stanisław Trocki, pracownik naukowy i prorektor Akademii Rolniczej w Białej Cerkwi. Zatwierdzono również wstępną wersję statutu, precyzującego cele związku oraz prawa i obowiązki członków. Zalecono także Zarządowi zajęcie się rejestracją oddziałów terenowych (rejonowych i obwodowych), których odpowiednia liczba stanowi warunek zarejestrowania z prawem działalności na terenie całego kraju. Podczas III Zjazdu Farmerów, który odbył się 2-3 grudnia 2000 roku w Wołoczyskach, przeanalizowano dotychczasową działalność Zarządu oraz zmieniono nazwę „Asocjacja" na lepiej w języku polskim brzmiące „Stowarzyszenie Polskich Farmerów na Ukrainie". W statucie dokonano paru korekt i wprowadzono dodatkowe elementy dotyczące zgodnej z obowiązującymi ustawami gospodarczej działalności Stowarzyszenia, którego podstawowym celem jest aktywny udział w procesie normalizacji i modernizacji ukraińskiego rolnictwa. Członków Stowarzyszenia zobowiązuje się do czynnego uczestnictwa w pracach nad rozwojem ekonomicznym kraju. Na Stowarzyszeniu natomiast ciąży obowiązek reprezentowania i obrony interesów jego członków. Na razie jest to grupa około 90 farmerów, prowadzących duże przedsiębiorstwa rolne. Jednak ich liczba z pewnością będzie wzrastać tym bardziej, że z czasem obejmie również rolników pracujących na małych kilkuhektarowych gospodarstwach, których przybliżona ilość w skali kraju waha się w granicach 120-150 tysięcy. Na zakończenie Zjazdu zobowiązano Zarząd do możliwie szybkiego zakończenia formalności związanych z sądową rejestracją Stowarzyszenia.

W sytuacji tego postępującego procesu normalizacji ukraińskiego rolnictwa coraz wyraźniejszy staje się brak zorganizowanej służby doradczej, udzielającej fachowej pomocy usamodzielniającym się, lecz słabo do tego przygotowanym rolnikom. Problemem tym usiłowaliśmy zainteresować ze strony polskiej Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Krajowe Centrum Doradztwa Rozwoju Rolnictwa i Obszarów Wiejskich, ze strony Ukrainy zaś władze kilku wybranych rejonów o znaczniejszym udziale ludności polskiego pochodzenia oraz środowiska związane z Ministerstwem Polityki Rolnej i Prezydium Rady Ministrów. Przyniosło to w efekcie umieszczenie tematu doradztwa rolniczego w międzyrządowym porozumieniu o pomocy Polski w restrukturyzacji i modernizacji rolnictwa Ukrainy, podpisanym w Kijowie 30 września 2000 roku.

Realizację tego zadania zamierzamy rozpocząć od utworzenia czterech pilotażowych ośrodków doradztwa rolniczego, zlokalizowanych w rejonach o stosunkowo licznej grupie rolników, prowadzących samodzielną działalność gospodarczą. Rejonami tymi są: Dzierżyńsk (obwód żytomierski), Koziatyn (winnicki), Gródek Podolski (chmielnicki) i Wołoczyska (obwód chmielnicki w bezpośrednim sąsiedztwie z obwodem tarnopolskim). Ośrodki te, niezależnie od funkcji doradczej, stanowić będą z jednej strony konkretny przykład, zarówno dla administracji lokalnej jak rządowej, czym jest i na czym polega doradztwo rolnicze, z drugiej zaś przyczynią się do zdobycia obustronnego doświadczenia w trakcie wprowadzania w życie omawianego przedsięwzięcia. Wstępnym etapem będzie teoretyczne przygotowanie pierwszej grupy doradców, zdolnych do zorganizowania i rozpoczęcia działalności tych czterech pilotażowych rejonowych ośrodków doradztwa rolniczego. Akcja szkoleniowa, obejmująca okres jednego roku (sierpień 2001 – sierpień 2002), prowadzona będzie wspólnie z Regionalnym Centrum Doradztwa Rozwoju Rolnictwa i Obszarów Wiejskich „Poświętne" w Płońsku.

O sfinansowanie kosztów szkolenia zwróciliśmy się do PAUCI (Poland-America-Ukraine Cooperation Initiative – Inicjatywa Współpracy Polsko-Amerykańsko-Ukraińskiej), która w swoim statucie przewiduje tego rodzaju wydatki. Całość przedsięwzięcia została uzgodniona z władzami ukraińskimi, poczynając od Ministerstwa Polityki Rolnej i kończąc na administracji państwowej poszczególnych rejonów.

Na zakończenie należałoby podkreślić rolę duchownych Kościoła rzymskokatolickiego, których ofiarne zaangażowanie wspomaga z jednej strony bezpośrednio parafian-rolników, z drugiej natomiast opisane procesy restrukturyzacyjne. Są to proboszczowie: Ryszard Dziuba (Dzierżyńsk), Józef Kozłowski (Korzec), Józef Moszkowicz (Koziatyn), Paweł Pruszyński (Biłohiria), Andrzej Rams (Strzelczyska) oraz ks. Władysław Wanags, przełożony Domu Opieki Społecznej w Gródku Podolskim.

Krzysztof Czarnocki

Biuro Zarządu Krajowego

„Malarstwo trzech generacji rodziny Bergerów"

Wiosną br. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" rozpoczęło w swoich galeriach prezentację wystawy, zatytułowanej „Malarstwo trzech generacji rodziny Bergerów", na którą składają się prace nieżyjącego już Józefa Bergera oraz Jana Bergera i najmłodszej Xéni.

14 marca br. minęła setna rocznica urodzin pierwszego z rodu twórców – Józefa Bergera – z wykształcenia teologa, z zamiłowania artysty malarza. Józef Berger ukończył teologię ewangelicką na Uniwersytecie Warszawskim, po czym jako pastor ewangelicki rozpoczął pracę duszpasterską w Cieszynie. Po rozdzieleniu Śląska Cieszyńskiego wysłany został do Cieszyna Czeskiego, gdzie zbudował pierwszy zbór ewangelicki. W czasie wojny był więźniem obozów w Oświęcimiu i Dachau, a od 1942 r. przebywał na robotach przymusowych w Kędzierzynie. Po wyzwoleniu zajmował stanowisko superintendenta Kościoła ewangelickiego na Zaolziu. W 1952 roku zmuszony do opuszczenia Śląska, zamieszkał w Bratysławie. Tam już do śmierci w 1962 r. wykładał na Fakultecie Teologii Ewangelickiej, zajął się też w sposób bardziej profesjonalny malarstwem. W latach 1956-1958 powstał cykl obrazów poświęconych przeżyciom obozowym.

Jan Berger urodził się w Trzyńcu w 1944 r. Dzieciństwo spędził w Czeskim Cieszynie, po czym wraz z cała rodziną wyjechał do Bratysławy. Ukończył Szkołę Przemysłu Artystycznego, a następnie studia malarskie w Akademii Sztuk Plastycznych w Bratysławie. Od 1994 r. w stopniu profesora prowadzi Pracownię Malarstwa, a od 1998 kieruje Katedrą Malarstwa Akademii Sztuk Plastycznych w Bratysławie.

Xénia Bergerová, urodzona w 1977 r. w Bratysławie, wnuczka Józefa, ukończyła Szkołę Sztuk Stosowanych na wydziale ceramiki. Studiuje malarstwo w Akademii Sztuk Plastycznych w Bratysławie w pracowni prowadzonej przez ojca Jana. W ubiegłym roku odbyła staż w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem prof. Stanisława Rodzińskiego.

„Wmanipulowany w malarstwo"

rozmowa z prof. Janem Bergerem - artystą malarzem

Jak zapamiętał Pan atmosferę domu rodzinnego, który ukształtował Pana jako człowieka i jako artystę.

Zacznę może od mamy. Była człowiekiem wrażliwym, z bardzo dużym zrozumieniem dla sztuki – najbardziej tęskniła do muzyki. Pochodziła, tak jak ojciec, z prostej rodziny – ojciec z górniczej, mama zaś z rolniczej – i to z małym majątkiem. Jej matka była z pochodzenia Polką, z domu Bohucka, przy czym to „h" było niegdyś „g". Przez pierwsze lata młodości mama uczyła w Polsce, potem, gdy przyszły na świat dzieci, przestała pracować. Ponieważ mama była polską nauczycielką, jej język był chyba najlepszy. Nasz, niestety, nie aż tak dobry, co wynikało z różnych przyczyn. Oprócz tego, że znaleźliśmy się na Słowacji, był jeszcze jeden problem – na Śląsku Cieszyńskim mocno zakorzeniona jest gwara: z silnym akcentem, z dużą ilością czechizmów, germanizmów – wpływów bardzo tutaj naturalnych. W czasach mojego dzieciństwa na Śląsku używało się języka polskiego, można powiedzieć, że to był język polski. Dziś jest zupełnie inaczej. Gdy przyjeżdżam na groby rodziców i do bliskiej rodziny, to drażni mnie bardzo ten ich język – nie wiadomo jaki.

Pierwszym Pana językiem był polski?

Tak. Chodziłem do pierwszej i drugiej klasy do szkoły polskiej w Czeskim Cieszynie.

Naturalnie znam, ale nie używam czeskiego. Języki czeski i słowacki są bardzo pokrewne, ale mają inny słownik i brzmienie, a fachowcy mówią, że gramatyka czeska jest bardziej zbliżona do polskiej. Byłem w życiu tylko raz zmuszony do użycia języka czeskiego. Przetłumaczyłem dwie strony artykułu i wtedy uświadomiłem sobie, że znam ten język zupełnie dobrze, wystarczająco dobrze, bym mógł się nim posługiwać. To zresztą całkowicie naturalne, bo przed rozpadem Czechosłowacji wymiana, bliskość kulturalna między Czechami a Słowakami była duża. Nie było chyba takiego Czecha czy Słowaka, który nie znałby drugiego języka.

A ojciec, jak zapamiętał Pan ojca?

Ojciec był profesorem teologii i etyki na fakultecie ewangelickim – to była jedna linia jego życia, a druga, która jakoś w Bratysławie się pogłębiła, to było malarstwo. Został malarzem dzięki otoczeniu, ale też dzięki temu, że miał w Bratysławie więcej czasu. Tam zajął się bardzo poważnie malarstwem i pracował prawie profesjonalnie. Już w ostatnich latach malował parę godzin dziennie, co mnie dzisiaj zdarza się bardzo rzadko. Jeśli zaś chodzi o otoczenie, to i ono odegrało dużą rolę. Spotkał w Bratysławie bardzo wielu ciekawych ludzi, kilku malarzy. Nawet jego wiek nie doprowadził do izolacji, nie przeszkodził mu w nawiązaniu nowych kontaktów. Wiódł więc otwarte życie, które prowokowało do zainteresowania sztuką. Środowisko bratysławskie było nieporównywalnie większe od tego w Czeskim Cieszynie, który był wtedy jeszcze małym miastem. Bratysława miała więc na ojca bardzo dodatni wpływ, jeśli chodzi o jego malarstwo.

W twórczości Pańskiego ojca bardzo mocno jest widoczna wojna, a czy i na Pańskie malarstwo miała jakiś wpływ?

Tego trudnego okresu wojny naturalnie

nie pamiętam, bo urodziłem się niedługo przed jej końcem. Ale od dziecka chłonąłem wszystko to, co się wokół mnie działo. Nasłuchałem się więc różnych opowieści wojennych – bo u nas z racji funkcji ojca i jego towarzyskiego usposobienia – było zawsze dużo ludzi. Wracali z wojny, z różnych regionów świata i opowiadali. To mi utkwiło w pamięci. Była jeszcze lektura wojenna, ale nie ta chłopięca – wojskowa, lecz niestety ta przygnębiająca – o działaniach wojennych, o Powstaniu Warszawskim, o obozach. Było tego tak dużo, że mnie to po prostu obciążało. Chciałem skończyć z wojną, bo stała się właściwie nałogiem. Potem przyszły lata pięćdziesiąte. Okres ten zapisał się mocno w mej pamięci, bo był bardzo dramatyczny. Pozamykali mnóstwo naszych bliskich znajomych, a my zmuszeni zostaliśmy przenieść się do Bratysławy. Ojciec dosłownie z godziny na godzinę został zmuszony do odejścia. Nie było to zbyt przyjemne, chociaż ja jako dziecko odbierałem to inaczej. Znalazłem się w zupełnie obcym mieście, jakiego nigdy dotąd nie znałem, zauroczyło mnie zwłaszcza stare miasto. Lampy gazowe – to było pierwsze wrażenie, byłem oczarowany i zapomniałem, że nastaną problemy, że muszę się uczyć języka. Na szczęście z językiem słowackim nie miałem kłopotów, a po paru miesiącach nauki pisałem dyktanda najlepiej w klasie.

Zaadaptowaliśmy się w nowym środowisku bardzo naturalnie, bez jakiś ostrych problemów. Chociaż wiem, że dla ojca pierwsze lata pobytu w Bratysławie takie łatwe nie były. Rodzice z racji wieku dosyć ciężko znieśli zmianę środowiska, do tego doszedł problem języka, który dla ojca był szczególnie ważny, bo musiał wykładać. Na początku pomagał sobie językiem czeskim, a potem nauczył się już słowackiego.

Mieszkał Pan w miejscu ciekawym, wśród ludzi innej narodowości, rodzice pochodzili z pogranicza kulturowego. Jakie to miało znaczenie dla twórczości, dla widzenia świata? Czy trudno było w tej sytuacji zachować świadomość polskości?

To, że mieszkałem wśród ludzi różnych narodowości miało bardzo pozytywny wpływ. Trudno mówić o jakiś antagonizmach polsko-słowackich, one są gdzieś w historii albo w polityce, może były kiedyś. To są rzeczy, które normalnego człowieka zupełnie nie interesują albo nie dostrzega z tej racji jakichś problemów. Wrasta się w nowe środowisko, włada językiem tak, jak wszyscy dookoła. Ja sam mówię dzisiaj lepiej po słowacku niż po polsku i nigdy nikt nie dał mi odczuć, że nie jestem Słowakiem. Na pewno jestem przez to bogatszy. Czuję i rozumiem obie kultury. O pewnych rzeczach jestem w stanie mówić albo rozmyślać bez emocji, bo mam odpowiedni dystans. Kiedy ktoś jest przybyszem, postrzega pewne rzeczy inaczej niż ten, który się w danym miejscu urodził. Nigdy nie czułem się i nie będę się czuć Słowakiem, to jest niemożliwe. Do dziś zachowałem swoją polską narodowość. Nieraz zresztą spotkałem się ze zdziwieniem ze strony Polaków, urodzonych w Polsce: „Po co ty, człowiek urodzony w Czechosłowacji, podtrzymujesz tę polskość." Rzeczywiście, urodziłem się w Czechosłowacji, moje rodzeństwo przynajmniej w polskim Cieszynie, i miałem kłopoty, kiedy rozdzieliła się Czechosłowacja – musiałem zdecydować, czy chcę czeskie czy słowackie obywatelstwo. I wtedy paru Polaków zadało mi pytanie, po co robię problem z narodowością, przekonując mnie, że teraz jestem Słowakiem, bo żyję na Słowacji. Tego jednak nie da się zmienić i to nie jest ani przekora, ani sprawa wychowania. Byliśmy wychowani w bardzo liberalnej atmosferze, chociaż ojciec był patriotą, za co całe życie ponosił konsekwencje. W domu nigdy nie było problemu narodowościowego, a wiem, że bywają. Teraz w mojej rodzinie jest podobnie, też nie ma tego problemu. Żona nie czuje się do końca Słowaczką, ma polskie korzenie, odczuwa jakieś sentymenty, ale trudno powiedzieć, że jest z rodziny polskiej. Nasza córka urodziła się na Słowacji,

Goście wernisażu wystawy malarstwa Bergerów *fot. J. Dudek*

ma oficjalnie narodowość słowacką, ale i ona odczuwa w pewnym stopniu polskość, tkwi w niej jakiś element polski bardzo mocny.
Ja – jak mówiłem – odczuwam dwie kultury. Ale widzę, że mam ogromne braki, jeśli chodzi o poglądy, o spojrzenie na sztukę, na kulturę polską. To jest naturalne, musiałbym żyć w Polsce, żeby było inaczej.

Czy któryś z polskich artystów jest panu szczególnie bliski, czy ma Pan ulubionych polskich malarzy, kierunki w sztuce polskiej?
To jest chyba sprawa wychowania. W polskiej sztuce bardzo mocny jest romantyzm, który przekłada się też na wychowanie. Wyrastałem w rodzinie, w której starszy brat od dzieciństwa grał mi utwory Chopina, Szymanowskiego – stąd moje przywiązanie do tych kompozytorów. Czasami żałuję nawet, że nie poświęciłem się muzyce, którą gorąco kocham. Zatem, gdy człowiek wychowuje się na Chopinie, na Szymanowskim, zaczyna czytać literaturę romantyczną, to ten nurt staje mu się bliski. Tak samo było ze mną. Bardzo mało do mnie przemawia sztuka, budowana na konstruktywizmie albo na bardzo chłodnych podstawach, takich jak np. technicyzm. Wydaje mi się, że taka sztuka jest jakimś błędem i nie wiem, czy moje podejrzenia nie są słuszne. Nawet dzisiaj byliśmy w Muzeum Narodowym w Warszawie i przyznam się szczerze, że nurt, który jest właśnie taki na wskroś geometryczny nie potrafi mnie obudzić, przemówić do mnie. Im jestem starszy, tym bardziej się o tym przekonuję. Jest to ładne, może być ciekawe, choć nie zawsze, ale mam wrażenie, że każdy może sobie powiedzieć, że też umiałby coś takiego stworzyć. To jest bardzo laickie powiedzenie, ale coś w tym jest. W takiej sztuce jest bardzo mało jakiś takich prawdziwych, oryginalnych przejawów. Czasami mam wrażenie, że ludzie uciekają do tego nurtu, bo jest taki ładny.
Ze sztuki XX w. dzisiaj zachwycił mnie znowu Malczewski. Są u niego rzeczy oparte na poetyckiej wizji, nawet te bliskie realizmowi, ale jest też u niego bardzo dużo pierwiastków, istniejących w sztuce baroku, w sztuce przedmiotowej, materialnej. To jest konflikt między widzeniem poetyckim i bardzo materialnym. Nie mogę się oprzeć Wyspiańskiemu, nie mogę oprzeć się Boznańskiej. Tak wspaniałą portrecistkę trudno dzisiaj znaleźć. Jej malarstwo jest na poziomie wielkich mistrzów. Jest delikatne, ona jakby ustępowała męskim kolegom, którzy malują z wielkim rozmachem. W portretach Boznańska jest numer jeden. Tak samo świetne są portrety Witkiewicza, potem Wojtkiewicza. Może nawet Wojtkiewicz jest jednym z najciekawszych w tej ekspozycji. Muszę natomiast krytycznie powiedzieć, że wybór sztuki XX w. został zrobiony bardzo biednie, podejrzewam nawet przypadkowo. Z tej kolekcji podoba mi się parę obrazów Tadeusza Makowskiego. Obejrzeliśmy też wczoraj otwartą wystawę Paula Klee. Mieliśmy naprawdę szczęście, że ją zobaczyliśmy – to wspaniała wystawa, a żadnych tłumów, kolejki.

Powiedział Pan, że muzyka była Pana miłością, jak to się stało, że poświęcił się Pan malarstwu?
Teraz niedawno słyszałem – nie wiem, czy to był czeski pisarz, czy aktor starej generacji – który powiedział mądrą rzecz. Kiedy pytano go, dlaczego został aktorem, powiedział, że to nie jest sprawa jakiegoś absolutnego wyboru, że to są sprawy manipulacji środowiska, że człowiek jest w swój zawód w stu procentach „wmanipulowany".

Czyli Pana brat został „wmanipulowany" w muzykę, a Pan w malarstwo?
Brat walczył o muzykę. Może dzięki mamie łatwiej było mu się zdecydować, ona torowała mu drogę w domu. Ojciec był przeciwny, choć ten sprzeciw wywołały warunki, w jakich się wychował – mentalność małego miasta. Ojciec był człowiekiem bardzo światłym i sam pragnął być architektem, jednak warunki pchnęły go na teologię. Podejrzewam, że gdyby mógł wybierać, to wybrałby drogę plastyki albo architektury. Sam prawdopodobnie nie dopuszczał takiej myśli, że mógłby studiować na Akademii Sztuk Pięknych, bo to było w jego środowisku nie do przyjęcia. Brat ojca był znakomitym amatorskim nie tylko aktorem, ale i pisarzem, a także muzykiem. Napisał chyba 40 sztuk teatralnych i niektóre do dziś są grane jeszcze w teatrach amatorskich. Zamiłowanie do sztuki tkwiło w tej rodzinie na pewno. Mój brat z kolei trochę o tę muzykę walczył. Najpierw był fortepian, a później studia kompozycji, bo fortepian nie zaspokajał jego intelektu. Teraz komponuje, ale też ucieka do teorii muzyki, do filozofii sztuki. Ze mną była sprawa prostsza, bo nauczycielka skierowała mnie do Wyższej Szkoły Przemysłu Artystycznego. Rodzice nawet nie wiedzieli o istnieniu tej szkoły, chociaż była niedaleko. I tak się zaczęło, a kiedy człowiek już w wieku 13-14 lat obierze jakąś drogę, to bardzo trudno ją zmienić. Bo tego typu ukierunkowanie jest niestety mocne. A gdy się to jeszcze polubi, to idzie się dalej. Na początku chciałem poświęcić się scenografii. To była taka moja iluzja. Dziś jednak nie żałuję, że akurat wtedy nie otwarto tego kierunku. I tak po ukończeniu szkoły średniej szkoły postanowiłem pójść na malarstwo.

Czy Pana ojciec jakoś się do tego przyczynił?
Ojciec by się na pewno bardzo cieszył, ale zmarł wcześniej, zaraz po mojej maturze. W dzieciństwie zabierał mnie na spacery po starym mieście, które wtedy było bardzo ciekawe. Wyburzono je dopiero pod koniec lat 60. w dużej mierze z powodu rozbudowy komunikacji miejskiej. Pamiętam bardzo ładne słoneczne poranki, gdzieś o czwartej, piątej spędzone w tej malowniczej części miasta. Kilka razy byliśmy pewnie gdzieś w Beskidach podczas wakacji. No i tak się zaczęło. Chyba dlatego miałem zawsze pociąg do koloru. Stopniowo scenografia stała się dla mnie czymś drugoplanowym. Kiedy skończyłem szkołę, miałem jeszcze chęć podjąć studia scenografii, chociażby krótkie, ale zaważył fakt, że nie można równocześnie wykonywać dwóch tego typu profesji. To jest

iluzoryczne i zrezygnowałem wówczas ze scenografii, ale może jeszcze coś w przyszłości?

Pański ojciec był zaangażowany w pracę społeczną, a Pan czuje w sobie coś z tej duszy ojca społecznika?

Ojciec był jednym z trzech założycieli Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Cieszynie, który powstał po wojnie. Był prawdziwie zaangażowany w tę sprawę. Pamiętam nawet z opowiadania, że kiedy robili statut Związku to doszło do bardzo dramatycznej sytuacji. Komuś z wyższych urzędników bardzo zależało na tym, żeby doszło do powstania tego związku i dosłownie zamknął ich na noc w jakiejś kancelarii, zmuszając, by stworzyli ten dokument. Ja nigdy nie zajmowałem się tego typu działalnością. Ojciec nam od dziecka mówił o jednej rzeczy – żebyśmy się nigdy nie zajmowali polityką, bo widział, jak polityka zaważyła na jego życiu. Ale to nie była najważniejsza przyczyna. Po prostu sytuacja była zupełnie inna. Jako dziecko stałem się obywatelem Słowacji, i sprawy narodowościowe przestały zupełnie grać rolę. Więc i ta sytuacja była inna, i ja po prostu nie czuję pociągu do tego typu pracy, nawet do głowy by mi to nie przyszło.

rozmawiała Joanna Dudek

Oddział w Krakowie

Pasje kresowe

rozmowa z Jerzym Petrusem, historykiem sztuki, wicedyrektorem ds. muzealnych Zamku Królewskiego na Wawelu

Jest Pan pracownikiem Zamku Królewskiego na Wawelu – serca i ducha Polski. Pracy na Wzgórzu Wawelskim dla historyka sztuki nie brakuje. A mimo to dodatkowo zajmuje się Pan zabytkami kultury polskiej poza granicami kraju, zwłaszcza na dawnych ziemiach kresowych Rzeczypospolitej. Obecnie przez Kresy mylnie rozumiemy również Lwów i ziemię lwowską. Czym naprawdę Kresy Rzeczypospolitej były kiedyś, a czym są teraz?

Pojęcie Kresów podlegało historycznym przeobrażeniom i zmieniało się w zależności od zmian granic państwowych. Rzeczywiście, mówiąc dzisiaj o Kresach, myślimy o ziemi lwowskiej, Pokuciu, Wołyniu, o takich miastach jak Lwów, Wilno, Tarnopol, Łuck, Pińsk. Te Kresy są nam bliskie. A przecież historyczne granice Rzeczypospolitej sięgały o wiele dalej. Obejmowały całe Podole, Kamieniec Podolski, Smoleńsk, Kijów czy Mińsk. Jeśli spojrzymy na mapę XVII-wiecznej Polski, zobaczymy, iż tak naprawdę Lwów był w samym centrum Rzeczypospolitej. To Kraków znajdował się wówczas gdzieś na peryferiach Królestwa, z drugiej strony Kresów. Ówczesna stolica polskiego państwa była usytuowana blisko granicy Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, w skład którego wchodziło królestwo czeskie. Nie bez powodu Zygmunt III Waza zniechęcony trudnościami komunikacyjnymi ze Szwecją postanowił przenieść na jakiś czas swoją rezydencję do Warszawy. Stąd o wiele łatwiej było kontaktować się z innymi państwami. Łatwiej też było działać centralnej administracji.

I jeszcze jedno. Gdy dziś mówimy o Kresach, wszyscy myślą o dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. A przecież istniały i istnieją kresy zachodnie. W okresie międzywojennym działały liczne organizacje kresowe na zachodnich ziemiach Rzeczypospolitej, takich jak Pomorze czy poznańskie – na tych ziemiach, z których część dzisiaj uważamy za centralne.

fot. S. Michta

Dlaczego w ogóle zainteresował się Pan Kresami, przecież stan zabytków jest tam opłakany, a praca historyka sztuki nie należy do łatwych.

Moja rodzina wywodzi się z Pokucia, ze Stanisławowa i Lwowa. Te ziemie jawiły się zawsze w opowiadaniach rodzinnych jako tajemnicza, wręcz mitologiczna, kraina. Tak więc praprzy-

czyną moich zainteresowań Kresami z całą pewnością były rodzinne sentymenty i tradycje. Ale nie był to najważniejszy i jedyny powód.

O wiele ważniejszą rzeczą dla mnie było wyzwanie, przed jakim w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku stanęli polscy historycy sztuki. Oto nagle zachodzące zmiany społeczno-polityczne w całym byłym bloku wschodnim spowodowały, że po przeszło pięćdziesięciu latach los dał nam możliwość zweryfikowania naszej wiedzy o sztuce na tamtych terenach. Po roku 1939 zostaliśmy całkowicie pozbawieni możliwości prowadzenia tam jakichkolwiek badań historycznych. Przez minione pół wieku historia sztuki – podobnie jak inne dziedziny nauki – rozwijała się, powstawały nowe metody badawcze, poszerzała się baza źródłowa. A nam, polskim historykom, wciąż doskwierał brak możliwości dotarcia do oryginalnych zabytków na Wschodzie, do tamtejszej bazy źródłowej.

Tymczasem historia sztuki jest specyficzną profesją. Jeżeli człowiek chce zajmować się historią sztuki uczciwie, musi mieć stały kontakt z zabytkami, bezpośrednio obcować z nimi, własnymi rękami dotykać dzieł sztuki i na własne oczy je oglądać. Dzieło sztuki jest bowiem pierwszym i najważniejszym źródłem, z którego wszystko inne wynika.

Można zaryzykować twierdzenie, że historyk sztuki, który musi poprzestać tylko na fotografiach obiektów i korzystać z cudzych opisów, stawia się w roli lekarza, który wydaje diagnozę o chorobie na podstawie opowieści sąsiadki.

Jestem przekonany, że moja działalność na niwie naukowej pozbawiona jest sentymentalnego zabarwienia i nie ma nic wspólnego z nacjonalizmem czy postawą rewindykacyjną. Stosując metody i narzędzia właściwe dla współczesnej historii sztuki, staram się wyciągnąć z prowadzonych badań obiektywne wnioski. Po prostu zajmuję się historycznymi zjawiskami w naukowym kontekście.

Lwowiacy nazwali pana drugim Dzieduszyckim. Wyjeżdża Pan często do Lwowa, czym się Pan tam aktualnie zajmuje?

To bardzo pochlebne dla mnie porównanie, gdyż Maurycy Dzieduszycki był osobą wielce zasłużoną dla badań nad Lwowem. Myślę, że to skojarzenie zrodziło się po wydaniu mojego przewodnika po katedrze lwowskiej. Ponad sto lat temu powstała pierwsza historyczna monografia katedry lwowskiej pióra właśnie Maurycego Dzieduszyckiego.

W moich lwowskich badaniach zajmuję się różnymi rzeczami. Właśnie kończę z prof. Janem Ostrowskim pracę nad wielką monografią Galerii w Podhorcach – pałacu niezbyt odległego od Lwowa. Jest to najwspanialsza z magnackich rezydencji z XVII stulecia, jakie istniały na tamtych ziemiach. W jej murach mieściła się galeria obrazów z legendarnymi wręcz zbiorami, będąca w istocie rzeczy doskonałym przykładem na to, jak błędne wnioski mogą wyciągać historycy bez kontaktu z dziełami sztuki. W dawnych inwentarzach, a nawet jeszcze w przedwojennych opisach tej galerii aż roiło się od dzieł Rembrandta, Rubensa czy Tycjana. Przy tak bogatej kolekcji można by przypuszczać, iż był to drugi Luwr. Dzisiaj wypadałoby usiąść i opłakiwać utraconą kolekcję. Na szczęście jednak zachowała się część galerii. Od kiedy historycy sztuki mogli przystąpić do badań zbiorów, odkryto, że Rembrandt to nie Rembrandt, a obraz autorstwa Rubensa tak naprawdę nie jest jego dziełem. Okazało się, iż metody badawcze stosowane w XIX wieku były dość zawodne. Odróżnienie oryginalnego

Podczas inwentaryzacji w kościele parafialnym w Radenicy na Ukrainie (1999 r.) *fot. E. Wilkojć*

dzieła od kopii czy obrazu pochodzącego z innej szkoły malarskiej napotykało na spore trudności. Dzisiaj wartość Galerii w Podhorcach polega zupełnie na czymś innym.
Jestem również jednym ze współautorów siedmiotomowego wydawnictwa „Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego". Prace te są próbą inwentaryzacji świątyń, które istniały na tamtych terenach. Staramy się przedstawić ich losy aż do współczesnych czasów, chociaż wiele z nich już dzisiaj nie istnieje. Nie wszystkie uległy zniszczeniu w wyniku tego, co działo się po drugiej wojnie światowej. Niektóre z nich przestały istnieć znacznie wcześniej.
Staramy się pozostawić naszym następcom niewiele do zrobienia – chyba że odkryją nowe źródła archiwalne, na co przecież trzeba mieć zawsze nadzieję. Staramy się po prostu wykorzystać w swojej pracy całą bazę faktograficzną, jaka jest do naszej dyspozycji.

Niedawno wydał pan dwa tomiki, które zapoczątkowały serię wydawniczą „Zabytki kultury polskiej poza granicami kraju". Były to „Lwowska katedra obrządku łacińskiego" oraz „Żółkiew i jej kolegiata". Skąd taki wybór?
Wybór był oczywisty. Katedra lwowska jest przecież odpowiednikiem katedry na Wawelu. Jeśli ktoś ma emocjonalny stosunek do wawelskiej katedry, musi także pamiętać o katedrze lwowskiej. To nie tylko główny kościół archidiecezji, ale przede wszystkim kościół-symbol. Symbol niezależności i bohaterstwa. W tej katedrze składał śluby Jan Kazimierz. W niej rozgrywały się różne wydarzenia historyczne z życia Rzeczypospolitej. Ten kościół nieustannie tam trwał. Obok kościoła Świętego Antoniego katedra lwowska była zawsze czynną świątynią. A z tego faktu mało kto zdaje sobie sprawę. Bo cóż to było dziwnego w Polsce, że ktoś idzie do kościoła na Mszę świętą? A tam wymagało to odwagi, wiązało się z ryzykiem, czasem wręcz bohaterstwem.
Niezależnie od tego katedra lwowska jest niezwykle interesującą budowlą gotycką, o wspaniałej architekturze, wypełnioną licznymi dziełami sztuki i pamiątkami historycznymi.
A Żółkiew wybrałem trochę z powodów sentymentalnych. W moim domu dużo mówiło się o wspaniałej i bohaterskiej postaci Stanisława Żółkiewskiego. Poza tym z dzieciństwa zapamiętałem pewną reprodukcję, przedstawiającą Teofilę z Daniłowiczów Sobieską z synami, Janem i Markiem, przed nagrobkiem ich pradziada. Ta reprodukcja była w jednej z dwóch książek, które ocalały z zawieruchy wojennej w naszym domu. Szczegóły te mocno utkwiły mi w pamięci.
Kiedy więc w roku 1971 Stowarzyszenie Historyków Sztuki zorganizowało wycieczkę do Lwowa, pojechałem do swojej legendarnej ziemi. We Lwowie namówiłem dwie koleżanki i wspólnie wybraliśmy się do Żółkwi. Jakże można byłoby tam nie zajrzeć? Zdążyłem zrobić zdjęcia różnych zabytków, zanim wreszcie trafiliśmy do kolegiaty. A tu cały kościół zamieniony był na skład cukru i papieru! Niewiele zobaczyliśmy w środku. Wybraliśmy się więc do zamku – niegdyś wspaniałej królewskiej rezydencji Sobieskich. Niestety, w zamku mieściły się koszary wojskowe. Przy głównej bramie stał wartownik i nie odważyliśmy się jej przekroczyć. Zaczęliśmy obchodzić zamek dookoła. W jego lewym skrzydle mieściła się szkoła. Akurat rozległ się dzwonek i dzieci wysypały się na przerwę. Natychmiast rozpoznały w nas cudzoziemców i chciały nam pokazać swoją szkołę. Chętnie skorzystaliśmy z ich zaproszenia. Wnętrza okazały się ładne, z ciekawymi sklepieniami. Ale ja koniecznie chciałem zobaczyć przez jedno z okien skrzydło zamku, gdzie, jak wiedziałem z opisów, miała znajdować się galeria z rzeźbami. Skrzydło to było tak zarośnięte burzanem, że niczego prawie nie zobaczyłem. Gdy opowiedziałem dzieciom, że kiedyś mieszkał tutaj król Sobieski, że była to wspaniała rezydencja, zaproponowały, że zaprowadzą nas bliżej – przez dziurę w płocie. A kiedy przez tę dziurę w płocie dzieci zaciągnęły nas na zamkowy dziedziniec, natychmiast pojawili się żołnierze. Reszta wyglądała jak na kiepskim filmie szpiegowskim. Razem z koleżankami zostałem zatrzymany i umieszczono nas w osobnych salach. Świetnie mówiący po polsku Ukrainiec, lampa świecąca prosto w oczy i pytania – *„Kogo tu znacie?", „Po co tu przyjechaliście?", „Wasze koleżanki do wszystkiego się przyznały, więc lepiej przyznajcie się i wy"...*
I tak przesłuchiwano nas aż do wieczora. W końcu z wielkim rozczarowaniem odwieziono nas do Lwowa i przekazano do rąk zapłakanej przewodniczki. Kobieta płakała, że nie zdołała nas upilnować i w konsekwencji może zostać zwolniona z pracy. A następnego dnia radzieccy przyjaciele zorganizowali zebranie, aby poddać nas „konstruktywnej krytyce". Mnie z koleżankami jako głównych winowajców posadzono z boku. Przyszło paru wojskowych i milicjantów. Rozpoczęła się masówka. Wstała jakaś kobieta i powiedziała, wytykając nas palcem, że oto są ci, co psują przyjaźń radziecko-polską i zgłosiła wniosek, aby kolektyw nas potępił. Cała polska wycieczka wybuchnęła gromkim śmiechem. Zebranie skończyło się przed upływem trzech minut.
No to jak nie można mieć sentymentu do Żółkwi?
Ale mówiąc całkiem poważnie, trzeba pamiętać, że żółkiewska kolegiata należy do szczytowych osiągnięć polskiej architektury z początku XVII wieku. Żółkiew to miasto związane z rodem Daniłowiczów, Sobieskich i Żółkiewskich. Miasto wielu bardzo ważnych wydarzeń politycznych tamtych czasów.

Czy dzisiaj, w czasach łatwiejszego dostępu do materiałów archiwalnych na Wschodzie, historyk sztuki spotyka się z utrudnieniami zwłaszcza ze strony urzędników państwowych?
Muszę podkreślić, iż rzadko zdarza się, aby historycy sztuki mogli uzyskać dostęp do tak dziewiczych, nie zbadanych do tej pory materiałów. Bywa, że odkrywamy jakieś rzeźby, ba, nawet kościół renesansowy, o którym nikt nie słyszał. Odkrywamy obiekty, których nie zdołano zinwentaryzować w okresie międzywojennym.
W zasadzie nie spotykamy się z utrudnieniami w naszej pracy na Kresach. Współpracujemy z ukraińskimi historykami

sztuki, bo przecież sztuka winna łączyć, a nie dzielić. Nieprzyjemne sytuacje zdecydowanie należą do marginesu.

Jakie są najbliższe Pana plany wydawnicze?

Na koniec tego roku, bądź z początkiem przyszłego winna ukazać się praca, poświecona Galerii w Podhorcach. Na początku przyszłego roku wydany zostanie ósmy tom, poświęcony kościołom i klasztorom dawnego województwa ruskiego ze wspomnianej już serii. Znajdują się tam moje monografie, poświęcone kościołom w Stryju, Żurowie, Żurawnie i Kochawinie.

Dziękuję za rozmowę i życzę Panu wytrwałości w dalszej pracy badawczej.

rozmawiała Małgorzata Stępka

Oddział Kujawsko-Pomorski

Obrazy toruńskiego artysty w Wilnie

Nowo otwarty Dom Kultury Polskiej w Wilnie zainaugurował działalność ekspozycyjną wystawą „Obrazy metafizyczne" Dariusza Delika, zorganizowaną przez Kujawsko-Pomorski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" w Toruniu.

Autor prezentowanych prac jest absolwentem Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, któremu początek dał Wydział Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Artysta mieszka w Toruniu. Tutaj też pracuje, kierując działem edukacji plastycznej w Galerii i Ośrodku Plastycznej Twórczości Dziecka. Uprawia malarstwo olejne. W Wilnie pokazał cykl dwudziestu dwu prac.

Rzeczywistości – jaką Dariusz Delik przedstawia na płótnach – trudno by szukać w przestrzeni dostępnej oczom, aczkolwiek wyraźne są inspiracje naturą. Artysta nie odwzorowuje przyrody, lecz maluje świat wyobrażony, bliski widzeniom ze snów, których urokowi nie sposób się oprzeć. Maluje Tajemnicę objawiającą się w zachwyceniu, gdy światło i kolor, kształty i to, co jawi się pośród nich oczarowują i nasycają życie dziwnym i nieuchwytnym pięknem. Przedstawiając swój wewnętrzny świat, twórca uzewnętrznia to, co odczuwamy patrząc... Maluje bujne ogrody, które ktoś ukształtował, ale do których od dawna nikt nie zaglądał, cmentarzyska, urokliwe zakątki... Używa jasnych barw – przeważają tu zielenie, które komponują się z błękitami i różnymi odcieniami czerwieni. Pogodne obrazy zdumiewają witalnością roślin, które wszędzie znajdują dla siebie miejsce – otoczyły gąszczem bramę, obrosły schody w parku, nagrobki i brzegi stawu.

Dariusz Delik przed swoim obrazem

Wernisaż wystawy - koncert Anny Podlewicz

Malarstwo Dariusza Delika jest pochwałą wspaniałości świata, w którym natura wypełnia pustkę, jaką odchodząc pozostawili ludzie. Ich już nie ma, a świat stał się tajemniczy jak baśń, której treść została zagubiona. Artysta stara się zgłębić i unaocznić tę treść, oswoić nieznane. Dzieli się zachwytem – zbliżając się do tego, co tak pięknie wyśpiewał św. Franciszek z Asyżu w „Pochwale stworzenia".

W przestronnym foyer nowoczesnego gmachu wileńskiego Domu Kultury Polskiej obrazy Dariusza Delika prezentowały

się znakomicie: jaśniały barwami, urzekały prawdziwie wiosennym nastrojem i tchnęły radością. Na wernisaż, w którym wziął udział prezes Kujawsko-Pomorskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" Józef Sawionek, licznie przybyli mieszkający w Wilnie polscy artyści, miłośnicy sztuki oraz przedstawiciele władz. Spotkanie uświetnił koncert poezji śpiewanej Anny Poźlewicz – utalentowanej wileńskiej wokalistki i instrumentalistki, obdarzonej pięknym głosem i wielką wrażliwością muzyczną.

Wystawa wzbudziła spore zainteresowanie. Zostanie pokazana również w Ejszyszkach. Prezes Józef Sawionek wyraził nadzieję, że ekspozycja zainicjuje cykl prezentacji prac plastycznych toruńskich twórców w nowej wileńskiej placówce kultury.

tekst i zdjęcia - Jerzy Rochowiak

Oddział w Lublinie

Wizyta dzieci z Ukrainy w lubelskiej szkole

W pierwszej połowie kwietnia, po raz drugi w tym roku szkolnym, Katolicka Szkoła Podstawowa im. Św. Jadwigi Królowej w Lublinie we współpracy ze Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska" gościła w swoich progach grupę uczniów ze Szkoły Średniej we Włodzimierzu Wołyńskim na Ukrainie. Opiekunem dzieci była przesympatyczna Tatiana Knysz – nauczycielka języka polskiego w tamtejszej szkole.

Goście mieli możliwość poznania się z uczniami naszej szkoły oraz uczestniczenia w szkolnych zajęciach, zarówno tych obowiązkowych, jak i pozalekcyjnych, np. kółka informatycznego. Mieli okazję przyjrzeć się z bliska szkole katolickiej, czyli takiej, jakiej na Ukrainie spotkać jeszcze nie można. Rodzice naszych uczniów z radością przyjęli małych gości z Ukrainy, otwierając nie tylko własne domy, ale przede wszystkim swoje serca. Wszyscy uczniowie znali język polski, więc rozmowy z nimi nie sprawiały nikomu kłopotu. Po wizycie w naszej szkole dzieci zostały zaproszone przez Józefa Adamskiego, prezesa Fundacji Pomoc Polskim Szkołom na Wschodzie im. T. Goniewicza na ognisko w Krężnicy Jarej pod Lublinem.

Słoneczna pogoda sprzyjała zwiedzaniu okolic Lublina – Kozłówki, Puław, Kazimierza i Nałęczowa. Niecodziennym przeżyciem dla naszych gości był udział w odprawionej na placu katedralnym uroczystej Mszy św. w Niedzielę Palmową. Wszystkie dzieci miały w rękach palmy podarowane im przez rodziny, u których mieszkały. Urzekł nas fakt, że dzieci po przyjęciu Komunii świętej chciały na zakończenie uroczystości otrzymać specjalne błogosławieństwo.

Przed wyjazdem zdążyliśmy obdarować jeszcze naszych gości prezentami i nadszedł czas pożegnania. Ostatnie słowa i uściski. Dzieci były zadowolone, choć miały łzy w oczach. Ze szczęścia czy żalu – niech pozostanie ich tajemnicą.

Jadwiga Ożóg – dyrektor KSP im. Św. Jadwigi Królowej w Lublinie

Pielgrzymka rodaków z Syberii

W kwietniu br. z dwutygodniową wizytą przebywała w Polsce 39-osobowa grupa Polaków z Irkucka, Wierszyny, Usola Syberyjskiego, Cieremchowa i Majska. Inicjatorem pielgrzymki – zorganizowanej w ramach akcji „Wielkanoc w Polsce 2001" – był Zbigniew Wojciechowski, członek Zarządu lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", pełniący funkcję wiceprezydenta Lublina. W realizacji tego przedsięwzięcia wyróżnił się także Józef Husarz, prezes Stowarzyszenia „Wspólne Korzenie". Listę zaproszonych osób opiniował ks. Ignacy Pawlus z Irkucka oraz Natalia Falińska – irkucki przedstawiciel Fundacji Pomocy Sybirakom. Zgodnie z intencją organizatorów na pielgrzym-

Grupa pielgrzymów z Syberii w lubelskim Ratuszu, pierwszy z prawej - wiceprezydent Zbigniew Wojciechowski

kę zaproszono osoby kultywujące tradycje i kulturę polską, dla których taki przyjazd był jedyną szansą poznania kraju swoich przodków. Na trasie pielgrzymki obok Lublina i okolic znalazły się inne miasta drogie każdemu Polakowi, m.in. Warszawa, Kraków i Częstochowa.

W Lublinie goście z Syberii zostali powitani po staropolsku – chlebem i solą – przez władze miasta, z prezydentem Andrzejem Pruszkowskim na czele. W Wielki Piątek niezapomnianym przeżyciem dla nich był udział w Drodze Krzyżowej, której uczestnicy przeszli ulicami Starego Miasta ze świecami w rękach. Święta Wielkanocne spędzili wspólnie z rodzinami, które gościły ich w swoich domach. W programie pielgrzymki obok udziału w uroczystościach religijnych zaplanowano także zwiedzanie zabytków w poszczególnych miastach oraz liczne spotkania towarzyskie. Niewątpliwie duże wrażenie na gościach z Syberii zrobiła wizyta w Parlamencie RP, gdzie spotkali się z senatorem Stanisławem Gogaczem i Włodzimierzem Boguszem z Kancelarii Senatu RP. Ponadto organizatorzy umożliwili zainteresowanym pielgrzymom z Irkucka i Wierszyny udział w rodzinnych spotkaniach z rodzinami dzieci uczącymi się w Lublinie oraz w szkole rolniczej w Myszkowie k/Częstochowy. Okrzykami radości powitano Zdzisława Soskę, który przed laty pracował w Wierszynie jako nauczyciel języka polskiego i katecheta. Do szczególnie serdecznych i wzruszających należało spotkanie po trzydziestu latach Mikołaja Pietrzyka z jego ciocią w Sławkowie k/Olkusza. Swoich krewnych, na razie bezskutecznie, poszukiwała w Częstochowie Barbara Litwincewa z domu Moroz. Inny z uczestników pielgrzymki – Jerzy Piercowski postanowił przyjąć chrzest w ojczyźnie przodków.

Wizyty gości ze Wschodu nie są w Polsce rzadkością, jednak przyjazd pielgrzymów z Syberii spotkał się z dużym zainteresowaniem ze strony wielu osób i instytucji, które do tej akcji włączyły się chętnie jako sponsorzy. W kosztach przedsięwzięcia partycypowały urzędy miejskie Lublina, Krakowa i Częstochowy oraz Starosta Myszkowa i Wójt Jastkowa, a także właściciele większości restauracji lubelskich, w których stołowali się pielgrzymi. Lubelskie Towarzystwo Ubezpieczeniowe „Warta" S.A. ofiarowało wszystkim uczestnikom bezpłatne ubezpieczenie na cały pobyt, Konsulat Generalny RP w Brześciu uzyskał od władz białoruskich zgodę na zwolnienie z opłat na granicy, wsparcia finansowego udzieliła Fundacja Pomocy Polakom na Wschodzie oraz firmy lubelskie: PZU S.A., Orbis Travel i Zakłady Tytoniowe. Należy dodać, że dzięki sponsorom wkład finansowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" stanowił czwartą część całego przedsięwzięcia, jednak przewidziana kwota dotacji mogła wpłynąć dopiero w późniejszym terminie, dlatego też wiceprezydent Zbigniew Wojciechowski, aby nie sprawić zawodu pielgrzymom, założył prywatne pieniądze na zwrot poniesionych przez nich kosztów podróży, a ponadto obdarował wszystkich licznymi upominkami, aby przypominały im Polskę – wciąż odległą, ale coraz bliższą ich sercom.

Dariusz Śladecki

Oddział w Opolu

O problemach repatriantów

„Repatrianci z Kazachstanu na Opolszczyźnie. Problemy administracyjne i adaptacyjne" – to temat konferencji, zorganizowanej przez opolski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", która miała miejsce 24 marca br. Podczas obrad wygłoszono osiem referatów, które zainspirowały wielu dyskutantów, w tym także samych repatriantów, licznie przybyłych z różnych miejscowości Śląska Opolskiego.

Konferencja, odbywająca się w Sali Herbowej opolskiego Urzędu Wojewódzkiego, była zwieńczeniem pewnego etapu badań nad społecznością repatriantów

Konferencja repatriantów *fot. P. Stauffer*

przybyłych z Kazachstanu. W ubiegłym roku, przy udziale studentów Uniwersytetu Opolskiego jako ankieterów, nasz Oddział prowadził socjologiczne wywiady kwestionariuszowe w grupie 28 osób oraz badania psychologiczne pod kierunkiem Julii Gorbaniuk z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego na obszarze pięciu województw. Właśnie omówienie rezultatów tych naukowych analiz wzbogaciło tematykę konferencji i stanowiło materiał dwu wystąpień – Julii Gorbaniuk oraz socjologa z Uniwersytetu Opolskiego Tadeusza Detyny, który zaprezentował socjologiczne spojrzenie na społeczność repatriantów z Kazachstanu w województwie opolskim. Procedury administracyjno-prawne, stosowane wobec repatriantów, przedstawiła Bożena Kalecińska z Wydziału Spraw Obywatelskich i Społecznych Urzędu Wojewódzkiego w Opolu, zaś dziejom deportacji poświęcił swe wystąpienie student opolskiego uniwersytetu – Przemysław Harupa. Nie zabrakło także wypowiedzi samych repatriantów. O przyczynach nastrojów migracyjnych w Kazachstanie na przykładzie tamtejszych Polaków mówił Eugeniusz Stain z Brzegu, zaś losy Polaków od deportacji do repatriacji przedstawiła Anna Sławecka z Nysy, która sporo miejsca poświęciła działającemu w naszym kraju Związkowi Deportowanych do Kazachstanu i Syberii – Repatriantów do Polski. Prezentacji książki o Polakach w Kazachstanie i ich losach („To my jesteśmy, Polsko!") dokonał jej autor – Anatol Diaczyński ze Stalowej Woli. Z kolei Marian Szymkowicz ze Związku Sybiraków w Głuchołazach mówił o dokonanej podczas drugiej wojny światowej wywózce ludności polskiej do Kazachstanu z kresów II Rzeczypospolitej.

Licznie zgromadzeni uczestnicy konferencji wskazywali na szereg kwestii łączących się z repatriacją Polaków z Kazachstanu oraz innych obszarów byłego ZSRR. Wielce interesujące było też spotkanie repatriantów jako respondentów z osobami zaangażowanymi w prowadzenie badań zarówno socjologicznych, jak i psychologicznych. Sami repatrianci mogli bowiem usłyszeć, jakie wnioski wynikają z badań, w których osobiście uczestniczyli. Na kwestię tę zwrócił także uwagę Stanisław Jałowiecki, marszałek województwa opolskiego, który przyjął patronat nad konferencją. Powiedział również, że kwestia repatriacji z Kazachstanu stanie się także tematem jednej z sesji sejmiku wojewódzkiego.

Mamy też nadzieję, że materiały z konferencji będą opublikowane, zwłaszcza wyniki badań, które podczas obrad z konieczności zostały zaprezentowane wybiórczo. Ciekawym wynikiem jest wskaźnik zadowolenia z repatriacji, który na Opolszczyźnie okazał się najwyższy.

Opolska konferencja jako próba wieloaspektowego spojrzenia na repatriantów z Kazachstanu winna być zatem w naszym kraju jedynie początkiem, a nie zwieńczeniem procesu bliższego przyglądania się tym ludziom i ich problemom.

Konferencji w Opolu towarzyszyła wystawa fotograficzna, prezentująca Wierszynę – położoną na Syberii wieś polskich osadników z Zagłębia.

Tadeusz Detyna

Oddział Podlaski

Pięć lat teatralnych spotkań

"Królewna i rozbójnicy" - Gimnazjum im. A. Mickiewicza *fot. B. Kondratowicz*

Piąty raz młodzi miłośnicy Melpomeny spotkali się w Wilnie, aby zaprezentować własne przedstawienia teatralne oraz obejrzeć spektakle przygotowane przez inne zespoły. A miało to miejsce 19 i 20 maja w Szkole im. Jana Pawła II, która użyczyła gościny V Festiwalowi Teatrów Szkolnych. Był to festiwal jubileuszowy, więc można pokusić się o pewne podsumowania i refleksje związane z działaniami teatralnymi w polskich szkołach na Litwie.

Pomysłodawcą i inicjatorem festiwalu jest Podlaski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" w Białymstoku, zaś od początku organizatorem owego przedsięwzięcia jest Stowarzyszenie Nauczycieli Polskich „Macierz Szkolna" w Wilnie. Początki nie były łatwe, a poziom występujących zespołów mocno zróżnicowany. Jednak już na ostatnim festiwalu zespoły zaprezentowały bogaty repertuar, różne techniki teatralne, a i poziom artystyczny był bardzo wyrównany. Zapewne niemała w tym zasługa prowadzonych od lat przez Podlaski Oddział zajęć teatralnych dla nauczycieli w Studium Kultury, które w ciągu minionych dziesięciu lat ukończyło 70 słuchaczy i którzy dziś prowadzą teatry szkolne. Dzięki ich pracy setki dzieci pogłębiają swoje umiejętności w poprawnym mówieniu po polsku. To ich wysiłek daje naszym młodym rodakom radość przeżywania scenicznych wzruszeń, poznawania piękna literatury i pokonywania własnej nieśmiałości.

W V Festiwalu Teatrów Szkolnych wzięło udział 300 młodych aktorów, którzy pokazali 20 przedstawień. Do łez rozbawił nas zespół teatralny ze Szkoły Podstawowej w Kienie, który zaprezentował teatralną wersję wiersza „Lokomotywa" w reżyserii K. Juckiewicz. Za wspaniałą grę i pomysł inscenizacyjny aktorzy w nagrodę przyjadą do Polski. Podobną

nagrodę otrzymają aktorzy przedstawienia „Fizia pończoszanka w 3a" w reżyserii A. Zienkiewicz ze Szkoły Średniej im. Wł. Syrokomli w Wilnie.

Zawsze cieszy mnie różnorodność przedstawień: prezentowały się teatrzyki lalkowe i te w żywym planie, aktorzy we wspaniałych historycznych kostiumach i ci, którzy ubrani na czarno mieli tylko na sobie umowne elementy stroju. Były przedstawienia dowcipne i poważne. Jednym słowem – nie było miejsca na nudę. W przerwach między spektaklami można było obejrzeć eksponowane przed salą widowiskową lalki teatralne, wykonane przez słuchaczy Studium Kultury oraz przypominającą poprzednie festiwale wystawę fotografii.

Przed dwa dni festiwalowa publiczność wybierała najsympatyczniejszy zespół: i tak zaszczytna nagroda publiczności przypadła zespołowi ze Szkoły Podstawowej w Kienie – lalka teatralna ufundowana przez Teatr Lalek „Zaczarowany Świat" z Torunia oraz zespołowi ze Szkoły Średniej im. Jana Pawła II w Wilnie – lalka ufundowana przez Białostocki Teatr Lalek. Natomiast wszyscy uczestnicy festiwalu dzięki Departamentowi Mniejszości Narodowych i Wychodźstwa obejrzą spektakl „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków" w Teatrze Opery i Baletu w Wilnie. Konsulat Generalny RP był fundatorem wyróżnień, które otrzymały następujące szkoły: Szkoła Średnia im. Jana Pawła II w Wilnie za spektakl „Pani Twardowska" w reżyserii Jadwigi Stankiewicz; Szkoła Średnia nr 2 w Landwarowie za spektakl „Kopciuszek" w reżyserii Krystyny Trojko; Szkoła Średnia w Awiżeniach za spektakl „Zabawa w Śpiącą Królewnę" w reżyserii Anny Przyszlak; Szkoła Średnia nr 1 w Mejszagole za dobór repertuaru, spektakl „Bajeczka o małpce" w reżyserii Romualdy Chmiel.

"Smok Wawelski" *fot. B. Kondratowicz*

Umilkły festiwalowe fanfary i rozdzielono nagrody. Piąty festiwal był znakomitą okazją do świętowania. Na zakończenie dnia na scenie pojawił się ogromny tort, którym obdzielono wszystkich uczestników. I ja tam byłam, tortu skosztowałam i swoje wrażenia opisałam...

Izabela Półtorak

Oddział w Siedlcach

Dar dla Polaków na Białorusi

W roku bieżącym siedlecki Oddział nie ustaje w organizowaniu pomocy dla Polaków ze Wschodu. Udało mu się znaleźć chętnych do wspierania naszych rodaków. Darczyńcy – a jest ich długa lista – sfinansowali zakup samochodu osobowo-towarowego „Bus-Lublin 3" dla Związku Polaków na Białorusi.

Jego przekazanie odbyło się 7 czerwca 2001 r. w gmachu Urzędu Miasta w Siedlcach. Na uroczystość przybyli m.in. Tadeusz Kruczkowski, prezes Związku Polaków na Białorusi, Wiesław Kiewlak, wiceprezes ZPB, konsul generalny RP w Grodnie Sylwester Szostak oraz liczne grono sponsorów. Zebranych gości powitał prezydent Siedlec Mirosław Symanowicz. Następnie prezes siedleckiego Oddziału „Wspólnota Polska" ks. Ryszard Borkowski podsumował krótko pracę Oddziału w 2000 r. Wiceprezydent Siedlec, a zarazem wiceprezes Oddziału siedleckiego Jerzy Jacek Myszkowski przeczytał protokół przekazania samochodu, który następnie podpisali prezes Zarządu Głównego Związku Polaków na Białorusi i prezes Oddziału siedleckiego. Zanim zaproszeni goście poszli obejrzeć dar, głos zabrał Marek Konopczyński, sekretarz Zarządu Krajowego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska", który w imieniu prezesa SWP prof. A. Stelmachowskiego podziękował Oddziałowi za pracę i zaangażowanie, podkreślił też fakt, że Oddział ten, istniejący od niedawna, działa bardzo prężnie i w krótkim okresie zaprezentował się jako bardzo aktywna placówka. Zwrócił uwagę też na głębszą wymowę przekazanego daru, który jest wyrazem pamięci i solidarności Polaków z Kraju z tymi, którzy żyją poza jego granicami.

Działalność Oddziału bardzo pozytywnie ocenił też następny mówca – konsul generalny RP w Grodnie Sylwester Szostak. Siedlce wychodzą naprzeciw oczekiwaniom Polaków mieszkających na Wschodzie, którzy liczą na naszą pomoc materialną i wsparcie duchowe. Wśród trzech oddziałów „Wspólnoty Polskiej" – łomżyńskiego, białostockiego i siedleckiego – właśnie siedlecki najwięcej robi dla Polaków na Białorusi, zwłaszcza tych z Grodna. Podkreślił, że każda wizyta siedlczan na Białorusi jest okazją do wspomożenia Polaków tam mieszkających. Prezes Tadeusz Kruczkowski podziękował za piękny i przydatny dar sponsorom. Mówił też o specyficznej i trudnej sytuacji Polaków na Białorusi, która uległa w znacznym stopniu sowietyzacji i o tym, jak ciężko jest w tym kraju zachować narodową tożsamość. Na zakończenie, w imieniu sponsorów, głos zabrała Joanna Gałach, właścicielka Przedsiębiorstwa Usług Komunalnych, która zapewniła o dalszej pomocy sponsorów w tak ważnej sprawie, jaką jest wspieranie Polaków na Wschodzie.

Ks. R. Borkowski wręcza kluczyki T. Kruczkowskiemu

Uroczystość przekazania samochodu obserwowali dziennikarze radiowi, telewizyjni i prasa, wśród nich dziennikarka ogólnokrajowego tygodnika Związku Polaków na Białorusi „Głos znad Niemna" i Polskiego Radia w Grodnie – Halina Ejsmont. Po oficjalnej części gościnni siedlczanie zaprosili przybyłych na obiad, po którym wypakowany książkami „Lublin 3" odjechał na Białoruś.

tekst i zdjęcia - Joanna Dudek

Konsul S. Szostak i J. J. Myszkowski

Sponsorzy

Pomoc dla rodaków ze Wschodu

Siedlecki Oddział w ostatnim roku skoncentrował swoją działalność programową na czterech dziedzinach: socjalno-społecznej, oświatowo-edukacyjnej, kulturalnej oraz turystyczno-sportowo-rekreacyjnej. Oddział prowadził akcję charytatywną w okresach przedświątecznych pod hasłem „Dzieci dzieciom", w której uczestniczyły dzieci i młodzież z siedleckich szkół. Zebrane dary przekazywane były przed świętami i wsparły polskie środowiska na Kresach. Udzielana była pomoc finansowa studentom ze Wschodu, którzy uczą się na siedleckich uczelniach, np. opłacenie studiów na Akademii Podlaskiej nauczycielce z Grodna. Dokonano zakupów artykułów spożywczych i przemysłowych oraz pomocy dydaktycznych dla szkół i organizacji polskich. Do całorocznej działalności należały praktyki i staże lekarzy polskich ze Wschodu w Wojewódzkim Specjalistycznym Szpitalu w Siedlcach. W imprezach kulturalnych w Siedl-

cach uczestniczyły polskie zespoły ze Wschodu. I tak na majowy Festiwal Młodych Pianistów przybyli artyści z Ukrainy i Białorusi. Na V Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym wystąpiły zespoły „Karolinka" z Brześcia oraz „Stokrotki" z Moskwy, a w Festiwalu Piosenki Religijnej grupy z Grodna i Ostrowca na Białorusi. Najwięcej zadań programowych przypada do zrealizowania na miesiące od czerwca do września. W tym czasie organizuje się przede wszystkim wypoczynek dla dzieci i młodzieży, warsztaty zespołów artystycznych, szkoły letnie, warsztaty metodyczne dla nauczycieli i kolonie polonijne. W okresie tym na wakacjach w Siedlcach i w okolicach przebywało około 320 dzieci z Chorwacji, Łotwy, Litwy, Gruzji i Ukrainy. W pięciu placówkach kolonijnych było ogółem 400 osób. Udane są zawsze pobyty dzieci w domach polskich rodzin, gdzie poznają polskie obyczaje i kulturę. Niemałą rolę w ich organizacji odgrywa pomoc księży proboszczów i dyrektorów szkół.

Oddział siedlecki corocznie organizuje zajęcia praktycznej nauki zawodu dla młodzieży z Domu Dziecka w Podbrodziu na Litwie oraz pobyty w domach polskich rodzin dzieci z Litwy. Pobyty wakacyjne dzieci z Kresów są urozmaicane wycieczkami do stolicy oraz zwiedzaniem okolic Siedlec w promieniu 100 km. Wszystkie grupy, przebywające na wypoczynku wakacyjnym mają w swoim programie zajęcia z języka polskiego. Wśród pedagogów bardzo popularne są warsztaty dla nauczycieli języka polskiego, historii i wychowania przedszkolnego. Coroczna Letnia Szkoła Języka Polskiego i Historii Literatury, organizowana wspólnie z Akademią Podlaską, liczyła w ubiegłym roku aż 65 uczestników, co świadczy o potrzebie i celowości jej istnienia. Do sukcesów Oddziału zaliczyć można pozyskiwanie darowizn rzeczowych i finansowych od różnych sponsorów. Za otrzymane środki finansowe siedlecki Oddział zakupił instrumenty muzyczne dla Szkoły Polskiej w Grodnie i Wołkowysku, dla Domu Polskiego w Szczuczynie oraz Zespołu Folklorystycznego „Karolinka" w Brześciu. W zeszłym roku zorganizowano też zbiórkę maszyn rolniczych, które następnie przewieziono na Litwę. Dzięki takim możliwościom można było dokonać innych dodatkowych zakupów na rzecz Polaków na Kresach, a ich potrzeby nie mają końca.

Jacek Grabiński

Oddział Wielkopolski

Wizyta dzieci z Podborza

Wiosną Wielkopolski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" gościł 40-osobową grupę uczniów z polskiej szkoły w Podborzu na Litwie. W trakcie sześciodniowego pobytu edukacyjnego dzieci zwiedziły Poznań, zaznajamiając się z historią i zabytkami miasta, odwiedziły Muzeum im. Adama Mickiewicza w Śmiełowie, w którym poznały losy naszego wieszcza przebywającego w Wielkopolsce na przełomie 1831 i 1832 roku. Początki państwa polskiego oraz pobyt A. Mickiewicza na Ziemi Wielkopolskiej były również tematem dwóch wykładów w Domu Polonii. Uczestnicy pobytu edukacyjnego odbyli również dwie wycieczki krajoznawcze do Sierakowskiego Parku Krajobrazowego oraz Wielkopolskiego Parku Narodowego. Podczas atrakcyjnie zorganizowanych lekcji przyrodniczych w terenie mieli okazję poznać florę i faunę regionu, jak i charakterystyczne cechy krajobrazu polodowcowego Wielkopolski.

Dopełnieniem programu były wizyty w niepowtarzalnym Muzeum Instrumentów Muzycznych, w Muzeum A. Fiedlera w Puszczykowie oraz Muzeum im. H. Sienkiewicza. Pobyt w tym ostatnim przygotował młodych rodaków do obejrzenia nowej, kinowej wersji filmu „W pustyni i w puszczy". Dodatkowymi atrakcjami było zwiedzanie Palmiarni poznańskiej oraz stadniny koni w Sierakowie. Program edukacyjny uzupełniały, cieszące się dużym powodzeniem, zajęcia rekreacyjne w kręgielni, pływalni i na całorocznym stoku narciarskim „Malta-ski".

Ostatni dzień pobytu w Wielkopolsce grupa uczniów z Litwy spędziła na Szlaku Piastowskim, poznając miejsca związane z początkami państwa polskiego. Z tej trasy dzieci pełne wrażeń wyruszyły w drogę powrotną do domu.

Danuta Krężlewska

Z Poznania nad Bałtyk

Od czterech lat, rokrocznie na wiosnę, studenci z Klubu Studentów Polonijnych w Poznaniu wyruszają w różne zakątki Polski w poszukiwaniu pierwszych oznak budzącej się przyrody. Tym razem 24-osobowa grupa udała się do Trójmiasta. Program wycieczki był intensywny. Pierwszego dnia – zaraz po przyjeździe do Gdańska – rozpoczęliśmy zwiedzanie od wysłuchania koncertu w Katedrze Oliwskiej i podziwiania brzmienia słynnych rokokowych organów z II połowy XVIII wieku. Następnie odbyliśmy spacer Traktem Królewskim w Gdańsku, który pomimo wietrznej pogody nas oczarował. Podziwialiśmy pięknie odrestaurowane kamieniczki od Złotej Bramy do Zielonej, ze strzelistym Ratuszem Głównego Miasta, Złotą Kamieniczką, Domem Uphagena, Dworem Artusa i oczywiście Fontanną Neptuna – symbolem Gdańska. Po dojściu do Długiego Pobrzeża, dawnego portu rzecznego i morskiego, oglądaliśmy charakterystyczną zgarbioną sylwetkę dźwigu portowego – Żurawia z XV wieku oraz Wyspę Spichrzów. W trakcie zwiedzania był też czas na wizytę w sklepie jubilerskim, gdzie przypatrywaliśmy się, jak szlifuje się złoto Bałtyku – bursztyn. Wędrówkę zakończyliśmy w Kościele Mariackim, który przytłoczył nas swoim ogromem – największa na świecie ceglana bazylika. We wnętrzu tej świątyni oglądaliśmy XV-wieczny tryptyk Hansa Memlinga „Sąd Ostateczny" oraz średniowieczny zegar astronomiczny Hansa Duringera z figurkami Adama i Ewy wybijającymi godziny i kwadranse.

Po noclegu w schronisku następnego dnia pojechaliśmy do Sopotu, aby zobaczyć morze. Spacer po najdłuższym w Europie molo przy bardzo dobrej widoczności – aż po Półwysep Helski – dostarczył nam wielu wrażeń. Zdecydowana większość z nas była po raz pierwszy w Trójmieście i nad Bałtykiem. Niektórzy zabrali na pamiątkę piasek, mu-

szelki i kamienie. Niestety, bezskutecznie szukaliśmy bursztynu. Z Sopotu ruszyliśmy do Gdyni-Orłowo, gdzie w jednym z przydomowych ogródków znaleźliśmy wreszcie wiosnę – mnóstwo różnokolorowych krokusów. Ostatnim punktem programu był Skwer Kościuszki – „Dar Pomorza" i Muzeum Oceanograficzne, do którego dotarliśmy po 4-kilometrowym marszu wzdłuż klifowego wybrzeża. W pociągu wiozącym nas do Poznania dzieliliśmy się wrażeniami, wracając myślami do tysiącletniego Gdańska, nastrojowego Sopotu i nowoczesnej portowej Gdyni.

Dariusz Łukaszewski

Studenci polonijni z Poznania przed kutrem rybackim w Gdyni-Orłowie

Bohdan Mrozowski

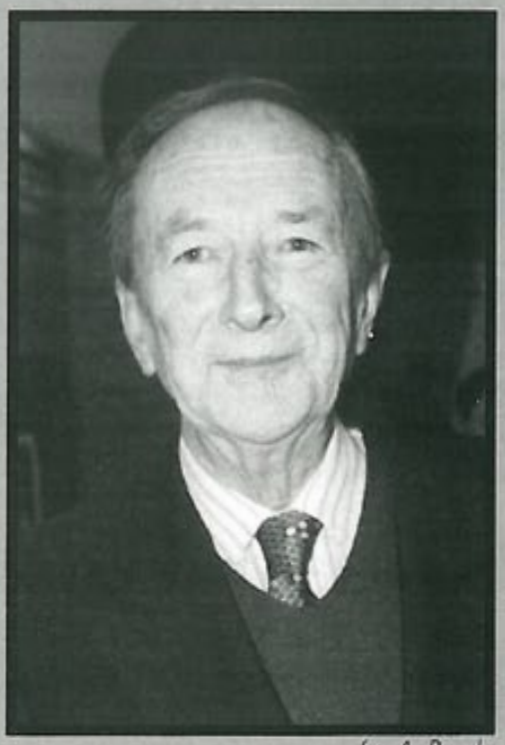

fot. A. Panecka

24 maja br. w Gandawie zmarł po długiej i ciężkiej chorobie dr Bohdan Mrozowski.

Bohdan Mrozowski urodził się w Wilnie 16 maja 1920 r. W latach 1942-1944 był żołnierzem Armii Krajowej. Od 1945 r. mieszkał w Belgii. Odbył studia medyczne na uniwersytecie w Gandawie, a następnie obronił doktorat z zakresu chirurgii i położnictwa. Po zakończeniu studiów, w latach 1952-1985 r. był asystentem, a następnie adiunktem Wydziału Bakteriologii i Wirusologii uniwersytetu w Gandawie. Od 1985 r. był konsultantem w dziedzinie dermatologii w klinice Liévin de Vinne w Gandawie. W belgijskich czasopismach medycznych opublikował szereg prac naukowych z dziedziny chorób infekcyjnych w laryngologii, medycyny sądowej i mikrobiologii.

W latach 1987-1991 był delegatem rządu RP na uchodźstwie na kraje Beneluksu. Od 1976 r. pełnił funkcję sekretarza Koła Armii Krajowej w Belgii, a od 1988 był prezesem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Belgii. W 1992 r. mianowany został konsulem honorowym RP w Gandawie na wschodnią i zachodnią Flandrię.

Otrzymał liczne odznaczenia: Order Odrodzenia Polski, Krzyż Armii Krajowej, Złoty Krzyż Zasługi, Medal Wojska, Order Korony Belgijskiej, Order Leopolda II, Order Świętego Sylwestra, Papieża.

BIULETYN STOWARZYSZENIA
WSPÓLNOTA POLSKA

Wydawca: Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska"
ul. Krakowskie Przedmieście 64, 00-322 Warszawa
tel./fax redakcji: (+48 22) 826 88 70
centrala: (+48 22) 827 04 40 w. 263, 826 20 41 - 44 w. 263
e-mail: apanecka@wspolnota-polska.org.pl

Redaktor Naczelny: Agnieszka Panecka
Współpraca: Joanna Dudek, Jolanta Wroczyńska
Opracowanie graficzne: Ratt-Line
Druk: ELIPSA
Indeks: ISSN 1429-8457

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania nadesłanych materiałów. Za poglądy autorów spoza Stowarzyszenia nie odpowiadamy. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.

II SALON KSIĄŻKI POLONIJNEJ W CENTRUM POLSKIM W BRUKSELI

Polskie Stowarzyszenie Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie (A.P.A.J.T.E.) przy współudziale Zakładu Biografistyki Polonijnej w Paryżu oraz Konsulatu Generalnego RP i Centrum Polskiego w Brukseli organizuje II Salon Książki Polonijnej z udziałem polskich pisarzy, poetów, publicystów i redaktorów, mieszkających w różnych krajach świata oraz autorów z Polski, piszących o Polonii, a także Oficyn Wydawniczych, publikujących książki dotyczące Polonii.

Salon odbędzie się w dniu 30 września 2001 roku w godz. 11-19 w salonach Centrum Polskiego w Brukseli, 68 Rue du Croissant.

Podczas spotkania autorzy będą mieli okazję prezentować i sprzedawać swoje publikacje oraz nawiązać bezpośredni kontakt ze swoimi czytelnikami. Przewidziana jest publiczna promocja i prezentacje autorskie, a na zakończenie wspólny koktajl. W spotkaniu zapowiedzieli udział przedstawiciele prasy, radia i telewizji.

W imieniu organizatorów serdecznie zapraszam do udziału w Salonie i zaprezentowania swoich publikacji.

Informacji udziela: Agata Kalinowska-Bouvy - Prezes A.P.A.J.T.E.
10, allée des Boeures
78124 Mareil-sur-Mauldre
France
tel.:(00 33) 1 30 90 79 54 (w godz. 10-18)
fax (00 33) 1 30 90 68 62

Polska Misja Katolicka zaprasza do swoich domów we Francji

Oferujemy miejsca o różnym standardzie, w różnych cenach z możliwością pełnego lub częściowego wyżywienia, zniżki dla dzieci, pobyt przewodnika i kierowcy grupy gratis. Ceny podane we frankach francuskich.

Dom w Lourdes

pokoje z prysznicem i WC
(opłaty za 1 noc, 2-3 noce, 4 i więcej nocy):
- noclegi: 70, 60, 50
- pobyt z pełnym wyżywieniem: 180, 170, 160
- pobyt ze śniadaniem i obiadokolacją: 135, 125, 115

pokoje z prysznicem i WC na korytarzu:
- noclegi: 60, 50, 45
- pobyt z pełnym wyżywieniem: 180-170, 170-160, 160-150
- pobyt ze śniadaniem i obiadokolacją: 125, 115, 110

domek campingowy
- noclegi: 30, 25, 25
- posiłki: śniadanie - 20, obiad - 45, kolacja - 45, 30

Dom w La Ferté

noclegi dla grup:
60, 55, 50
noclegi dla indywidualnych osób:
70, 55, 50
posiłki:
- śniadanie - 20, 30
- obiad (obiadokolacja) - 45
- kolacja - 30

pole namiotowe - 20

Dom na Korsyce

w sezonie (VI-IX), ceny dla dorosłych, dzieci 2-6 lat, dzieci 6-12 lat:
- pobyt z pełnym wyżywieniem:
  235, 90, 130
- pobyt z częściowym wyżywieniem:
  190, 70, 100
- noclegi: 110, 40, 60
- nocleg ze śniadaniem: 130, 50, 80
- posiłki: 55, 20, 30

poza sezonem:
- pobyt z pełnym wyżywieniem:
  210, 75, 110
- pobyt z częściowym wyżywieniem:
  165, 55, 85

Zgłoszenia prosimy kierować pod adresy:

Maison de la Mission Catholique Polonaise
„Bellevue"
Route de Bartres
65100 Lourdes
tel. 05 62 94 91 82, fax 05 62 42 08 75

La Maison de la Mission Catholique Polonaise
Fondée par Anna et Stanislaw Kozlowski
31, rue d'Huginy
77260 La Ferté sous Jouarre
tel. 01 60 22 03 76, 01 60 22 22 70
fax 01 60 22 02 23

Maison Saint Hyacinthe
20200 Santa Maria Di Lota
Lieu Dit Miomo
Bastia
tel./fax 04 95 33 28 29

e-mail wszystkich domów: pmk@club-internet.fr

Pielgrzymka Polonii Bułgarskiej

Fot. U. Milczewska

Na Huculszcz

Fot. J. Dudek

Wille w sanatorium

Łaźnia w sanatorium doktora Tarnawskiego

Przedwojenne kamienice w centrum Kosowa

wiosną...

Huculskie krajobrazy

Obserwatorium astronomiczne na Popie Iwanie

zyźnie

W gościnie u pani Zofii Baranowskiej

Most na Czeremoszu w Kutach

Pani Zofia z wnuczką

Na targu w Kosowie

Szkoła Polska w Paryżu

Uczniowie z Paryża goszczą kolegów ze szkoły im. A. Mickiewicza w Wilnie fot. arch. szkoły

Tablice pamiątkowe na dziedzińcu szkoły fot. A. Panecka

Kurs metodyczny fot. arch. szkoły

Dyr. I. Pugacewicz na szkolnym progu fot. A. Panecka

"Wesele w Lipcach" w interpretacji uczniów fot. arch. szkoły